
Space Travel
Progress report on
SPACE MEDICINE
Complete Interstellar
Novel
THE GODMEN
By Edmond Hamilton

Edmond Hamilton

Ludzie Bogowie

(The Godmen)

Space Travel, November 1958
Okładka: Paul E. Wenezel
Ilustracje wewnątrz: D. Bruce Berry
Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain
Oryginał tekstu i ilustracje zaczerpnięto z Internet Archives.

Po całej galaktyce szeptano legendy o rasie, która podróżowała przez przedwieczny kosmos bez statków, a nawet nie posiadając żadnej śmiertelnej postaci. Czy były to jedynie legendy? Albo…





Rozdział 1

Czarne, czarne, nieskończone łąki Boże, które nazwane zostały otwartym kosmosem. On zaś zanurzał się w ich otchłanie, Sol stawało się coraz bardziej malejącą iskierką, gdzieś poza nim, a odległe gwiazdy przyzywały go natarczywie.

Wyrwij się na wolność, mały Ziemianinie, uwolnij się od Sol i Ziemi!

I wyrwał się na wolność. Pierwsze nieśmiałe próby, takie jak sputniki sprzed całych dekad, ich następcy — rakiety księżycowe i marsjańskie, i wszystkie te chwiejne dziecięce kroki, teraz stały się już czymś zupełnie nieistotnym i zapomnianym. Teraz, posiadając już napęd gwiezdny, człowiek wyrwał się na wolność, i po raz pierwszy w historii zostały zdobyte gwiazdy…

Nagle jednak Markowi Harlowowi wydało się, że cały wszechświat wyśmiewa się z niego, z próżności człowieka, a kosmiczny śmiech rozbrzmiewa echem po wszystkich galaktykach.

Ale to nie ty byłeś pierwszy, mały Ziemianinie! Vornowie zrobili to już dawno, dawno temu!

I gargantuiczny śmiech z tego żartu, wstrząsa i kołysze konstelacjami, a on Harlow krzyczy ze wstydu i rozczarowania.

Krzyknął głośno i się obudził.

Nie znajdował się w kosmosie. Leżał w swojej koi na *Thetis*, cały mokry od potu, a nad nim pochylał się Kwolek, jego drugi oficer, przyglądając mu się ze zdziwieniem.

– Właśnie wszedłem, aby pana obudzić, sir… a pan strasznie krzyknął.

Gasnące echa kosmicznego śmiechu nadal dźwięczały szyderczo w uszach Harlowa. Wstał z koi i stanął na plastikowej podłodze pokładu, rozmyślając:

„Jeżeli to prawda, to rzeczywiście kpina z nas wszystkich. A taka kpina może kosztować życie Dundonalda."

Thetis spoczywała spokojnie na powierzchni obcej planety i przez porty widokowe jego małej kabiny, wlewało się światło obcego różowego słońca. Mały statek międzygwiezdny był wytworem Ziemi, a dziewiętnastu obecnych na jego pokładzie ludzi, również pochodziło z Ziemi. W ciągu osiemdziesięciu kilku lat, jakie minęły od czasów Sputnika, ludzkość pokonała długą drogę. Dotarła tak daleko i pracowała na to naprawdę ciężko, a przez całą tę drogę tliła się w niej iskierka uczucia, że nikt inny przed nią tego wcześniej nie dokonał. Jeżeli teraz ludzie dowiedzą się, że ktoś ich uprzedził, to jak to przyjmą?

Harlow powiedział sobie, że musi o tym zapomnieć, nie było sensu rozpamiętywać tego dłużej. Dundonald zbyt usilnie rozmyślał nad tą kosmiczną tajemnicą, wyruszył więc przed siebie, aby ją rozwiązać, i gdzie był teraz Dundonald? No właśnie, gdzie? Jego zadaniem było się tego dowiedzieć, i dlatego był teraz tutaj, na ML-441, gdzie okazało się, że w swoich poszukiwaniach dotarł dokładnie do nikąd.

Przeciągnął się ze zmęczeniem. Krępy, barczysty mężczyzna, w luźnej kurtce, wyglądający na dużo bardziej zmiętoszonego, niż powinien wyglądać kapitan Gwiezdnej Służby Badawczej. Zapytał:

– O co chodzi, Kwolek?

Okrągła, czerwona twarz Kwoleka miała zatroskany wyraz.

– Nic się nie stało. Ale to właśnie mnie niepokoi. Żaden z tutejszych, przez cały dzień, nawet się do nas nie zbliżył, ale obserwują nas nieustannie spoza rogatek tego swojego miasteczka.

Harlow natychmiast oprzytomniał.

– N'Kann nie przysłał żadnej wiadomości?

– Nie. – Po chwili Kwolek dodał jeszcze: – Jeśli chciałby mnie pan zapytać, to ci szafranowi to-i-tamto, tylko pana po prostu zwodzą.

Harlow chrząknął.

– Być może masz rację. Ale poczekam jeszcze do zachodu słońca. Jeśli do tego czasu nie przyśle żadnej wiadomości, to wrócę tam i załatwię z nim sprawę osobiście.

– To pański kark – powiedział Kwolek, z charakterystycznym dla niego lekkim i swobodnym brakiem szacunku. – Ale jak dla mnie, to wygląda na brzydką sprawę.

Harlow przeszedł wąskim metalowym korytarzem i wychodząc z włazu śluzy, stanął na wyschniętej, zabarwionej na pomarańczowo, trawie. Gorąco i blask słońca, odbijanego przez lśniącą metalową burtę *Thetis*, uderzyły go jak młotem.

Ciemne czerwone słońce, świeciło nisko na różowawym niebie. To nie była jakaś bardzo duża, czy specjalnie ważna gwiazda. Nie miała nawet swojej nazwy, tylko numer w katalogach Gwiezdnej Służby Badawczej. Miała jednak dwie planety, z których ta była najbardziej wewnętrzna, i była dostatecznie silnym słońcem, aby uczynić ten świat gorącym, wilgotnym i niełatwym do zniesienia.

Zabarwiona na pomarańczowo trawiasta równina, na której dziesięć dni temu wylądowała *Thetis*, łagodnie rozciągała się w dal, aż do wzgórz, ukoronowanych wieńcem żółtych lasów. Ale już w odległości niecałej mili, na równinie wyrastało dziwne szkarłatne miasteczko, którego mieszkańcy, sami we własnym języku, określali się jako Ktashas. Czerwone światło zachodzącego słońca, spowijało ich dziwne, wykute w kamieniu miasto, jeszcze głębszym szkarłatem niż zwykle.

Harlow mógł nawet dostrzec jaskrawo ubarwione szaty złotoskórych ludzi, stojących w nieregularnych rzędach na granicy miasteczka, i wpatrujących się nieustannie w stronę *Thetis*.

– To co mnie szczególnie uderza – powiedział Kwolek, – to fakt, że oni są tak cholernie podobni do nas.

Wyszedł za Harlowem na zewnątrz statku, towarzyszył im Garcia, trzeci oficer, młody Meksykanin, którego uporządkowany wygląd powodował nieustanne wyrzuty sumienia u Harlowa i Kwoleka. Gwiezdna Służba Badawcza była bezpośrednio podporządkowana ONZ, a więc w załodze Thetis obecni byli przedstawiciele ponad dziesięciu różnych narodów.

– Wydawałoby się, że do tej pory, powinieneś już przezwyciężyć swoje zaskoczenie – stwierdził Garcia.

Kwolek tylko wzruszył ramionami.

– Nie wydaje mi się, abym zdołał kiedykolwiek je przezwyciężyć. To jak dla mnie zbyt duży szok.

Tak, pomyślał Harlow. To było chyba największe zaskoczenie, jakie spotkało ludzi, kiedy po pierwszych podróżach na rozczarowująco pozbawione życia najbliższe planety, dotarli oni w końcu do innych gwiazd. Odkrycie, że na planetach typu ziemskiego, zazwyczaj mieszkają ludzie, a życie zwierzęce jest w znacznym stopniu podobne do terrańskiego, było zupełnie nieoczekiwane. Ale wtedy, krótko po tym, przyszło wyjaśniające ten fakt odkrycie, że stara teoria Arrheniusa jest prawdziwa, i że w otwartym kosmosie znajdują się zarodki życia. Skądkolwiek te zarodki pochodziły, gdziekolwiek była ta odległa fontanna życia, wszystkie one były identyczne. A więc, kiedy upadły na planetę podobną do Ziemi, w całkiem naturalny sposób, rozwijały się w generalnie takie same typy istot żywych.

Duża niespodzianka, to prawda, ale nie oszołamiająca. Jeśli chodzi o osiągnięcia, to w porównaniu z tymi innymi ludzkimi i humanoidalnymi, Ziemianie ciągle byli z przodu, czasami daleko z przodu. Pomimo wszystko, mogli mówić o sobie, to my byliśmy pierwszą rasą, która podbiła gwiazdy, która wynalazła napęd jonowy, a następnie zniekształcenie podprzestrzenne i podróż międzygwiezdną. My, ludzie z Ziemi — pionierzy.

I to właśnie było drugim zaskoczeniem, z jakim się spotkano. Kiedy statki Gwiezdnej Służby Badawczej wylądowały na dalekich, odseparowanych planetach, kiedy znajdujący się na nich lingwiści nauczyli się obcych języków i zaczęli rozmawiać z zamieszkującymi je ludźmi, stopniowo ujawnili tę niespodziankę. Niemal wszyscy ci ludzie z odległych gwiazd mieli wspólne przekonanie, legendę.

– Wy, Ziemianie, nie jesteście pierwszymi. Inni już dawno temu podróżowali między gwiazdami i nadal to robią. Vornowie.

Nazwa mogła być różna na różnych planetach, ale legenda była zawsze taka sama. Ziemianie nie byli pierwsi. To Vornowie byli pierwsi. Podróżowali i nadal jeszcze podróżują pośród gwiazd. Ale…

– Vornowie nie używają statków, tak jak wy. Przybywają i odchodzą, ale nie w statkach.

Nie należy się więc specjalnie dziwić, że naukowcy z Gwiezdnej Służby Badawczej, poczuli gorączkową ciekawość, próbując dokopać się do dna legendy o Vornach. Coś w tym musiało być. Ludzie od zawsze rozdzieleni odległościami rzędu lat świetlnych, nie mogli wymyślić tego sami, we własnych głowach, niezależnie od siebie.

W poszukiwaniu wyjaśnienia na statku Starquest wyruszyła ekspedycja Dundonalda, i w ten sposób cała sprawa zaczęła się również dla Harlowa. Ponieważ olbrzymie odległości uniemożliwiły przesyłanie komunikatów ze statku Dundonalda, więc kiedy po kilku miesiącach sam Dundonald także nie powrócił, Służba zaczęła się martwić. To właśnie był powód, dla którego Służba wysłała Harlowa z zadaniem odnalezienia Dundonalda, który był

jego dobrym przyjacielem, a również i cenionym naukowcem. Ponieważ plany pierwszej wyprawy uwzględniały ten system gwiezdny, przylecieli więc na ML-441, aby podjąć trop.

– Jesteśmy tutaj przez cały ten czas – pesymistycznie stwierdził Kwolek, kiedy stali przyglądając się milczącym, odległym postaciom i samemu miastu, – poznaliśmy ich język, i prawdę mówiąc, to *wszystko* czego się dowiedzieliśmy. To kompletna ściana. A teraz, jak mi się zdaje, chcą żebyśmy wynieśli się z ich planety.

– Nie odlecimy stąd – powiedział Harlow, – dopóki nie porozmawiamy z tym Brai.

Odważne słowa, pomyślał sobie. Przez cały ten czas, wszystko co tutaj robił, to były próby znalezienia Brai, niestety nieudane. Poniósł porażkę już na początkowym etapie swoich poszukiwań Dundonalda.

Kiedy tak tam stali, słońce dotknęło horyzontu i zalało wszystko ponurym światłem. Harlow odwrócił się.

– Idę zobaczyć się z N’Kannem. Muszę załatwić to z nim osobiście.

– Pójdę z panem – zaproponował Kwolek, ale Harlow pokręcił odmownie głową.

– Nie. I nie chcę również, żebyście szli za mną. Czekajcie.

Kiedy Harlow szedł przed siebie, był świadom ponurej wrogości nieruchomej, milczącej grupy ludzi w jaskrawych ubraniach, stojących na granicy wykutego w skale, kamiennego miasta. Pierwszy statek Gwiezdnej Służby Badawczej, który tutaj wylądował, dokładnie ocenił na wpół cywilizowany stan rozwoju kultury Ktashan, a stałą polityką Służby było postępowanie z takimi ludźmi w sposób możliwie ostrożny, z całkowitym brakiem najmniejszych nawet oznak protekcjonalizmu, albo prób dominacji.

To, jak pomyślał sobie Harlow, właśnie spowodowało jego problemy. Nie sądził, żeby tym razem poszło mu łatwiej, teraz kiedy jego natarczywe pytania o Dundonalda i Vornów, wzbudziły w nich podejrzenia.

Słońce zgasło jak lampa i wszystko otuliła bezksiężycowa ciemność. Idąc przez równinę widział rozpalone pochodnie i kierował się w ich stronę. A tam, w kręgu pochodni, pomiędzy innymi wysokimi, niecierpliwymi, złotoskórymi ludźmi, stał N’Kann. Jego silna twarz miała wrogi wyraz, a głos szorstko wypowiadał słowa niewyraźnego języka, którego Harlow nauczył się wcześniej.

– Nie masz tutaj czego szukać. Zabierz swój statek i odejdź!

Harlow ruszył na górę, w jego stronę, z rękoma luźno zwisającymi po obu stronach tułowia. Uważnie starał się zachowywać spokojny i rzeczowy ton głosu.

– Odejdziemy. Ale jest tak, jak powiedziałem wcześniej. Szukamy Ziemianina, Dundonalda, który był tutaj. Musimy wiedzieć, dokąd się stąd udał.

– Mówiłem ci już, że nie wiemy – stanowczo odparł Wódz Rady.

Harlow skinął głową.

– Ale jest ktoś, kto wie. Człowiek z twojego ludu, który nazywa się Brai. Dundonald z nim rozmawiał.

Dobrze pamiętał gadatliwego starca spośród Ktashasów, który mu o tym powiedział — rechocząc co chwila z błędnej wymowy Harlowa — że na koniec Ziemianie rozmawiali o Vornach z młodym Brai. Nie udało mu się znaleźć Brai. Nie udało mu się nawet znaleźć ponownie tego starego człowieka.

Harlow kontynuował więc:

– Gdzie jest Brai?

– Ktoś z was zna to imię? – odparł N’Kann. Twarze wszystkich członków Rady były zupełnie puste. – Nikt.

– Przecież Dundonald z nim rozmawiał – naciskał Harlow. – Mówił z nim o Vornach.

Czerwonawe ognie pochodni paliły się równym, nieruchomym płomieniem, ale wydawało się jakby po usłyszeniu tego określenia, przez grupę złotych ludzi przebiegł chłodny powiew wiatru.

A N’Kann wyrzucił w górę, nie przykryte barbarzyńską jaskrawą szatą ramię, wskazując nim w stronę czarnego nieba, ozdobionego gwiazdami, pośród których rozpościerała się ciemna plama potężnej Mgławicy Końskiego Łba, wyglądająca jak zadumana kosmiczna ośmiornica.

– Moi ludzie nie rozmawiają o Wędrowcach… nie!

A więc Vornowie byli tutaj nazywani także Wędrowcami? Harlow zarejestrował ten fakt w głowie i naciskał dalej, zadając kolejne pytanie:

– Dlaczego? Boicie się ich?

W oczach N’Kanna pojawił się niebezpieczny błysk.

– Nie boimy się żadnych ludzi. A już z pewnością nie Ziemian.

– A więc Vornowie nie są ludźmi?

– Nie będę o nich rozmawiał – N’Kann zaczął podnosić głos, ciężki od gniewu. – Oni przychodzą i odchodzą, wędrując od gwiazdy do gwiazdy, tak jak im to się podoba. I to jest ich prawo. A rozmowy o nich nie są naszą sprawą. Ani twoją, Ziemianinie — ani twoją!

Niewielka grupa wymamrotała popierające wodza słowa, a ze wszystkich stron pomiędzy oświetlonymi pochodniami rzędami ludzi, rozpoczęło się poruszenie przeciwko Harlowowi. Niemal wszystkie ręce schowały się pod krótkimi szatami, i zdawał sobie sprawę, że ich dłonie pochwyciły za broń.

On nie miał broni, a nawet gdyby jakąś miał, nie wolno było mu jej użyć. W tym punkcie prawo Gwiezdnej Służby Badawczej, zachowywało żelazną konsekwencję. Jeśli ktoś udawał się na planetę zamieszkałą przez innych ludzi i choćby mignął ziemską bronią, nieuchronnie czekał go sąd wojenny.

– Jeszcze raz mówię, że nie życzymy sobie żadnych rozmów o Vornach! – zawołał N’Kann. – A do jutrzejszego wschodu słońca wasz statek musi stąd odlecieć.

Harlow zdawał sobie sprawę, że mu się nie udało. Nie odnalazł pierwszego ogniwa tropu Dundonalda, i jeżeli odleci z ML-441, nigdy nie uda mu się tego zrobić. Jednak nie mieli zamiaru pozwolić mu ponownie wejść do miasteczka, aby mógł poszukać Brai, to było oczywiste.

Odwrócił się i ruszył z powrotem przez ciemną równinę. Za sobą słyszał niskie dziko brzmiące głosy, a ich ton powodował, że przez głowę przemknęła mu myśl, że miał szczęście, wydostając się stamtąd nietkniętym.

Ale czy na pewno udało mu się wydostać? Pochodnie pozostały już kawałek drogi za nim, a światła *Thetis* były tylko jakieś pół mili z przodu, kiedy uszy Harlowa pochwyciły ukradkowy dźwięk, gdzieś za plecami. Odgłos spokojnego biegu.

Odwrócił się szybko. Nie widział zupełnie niczego. Ktokolwiek za nim podążał, był na tyle ostrożny, aby nie pokazywać się, na tle światła pochodni.

A więc zdecydowali się nie czekać aż upłynie ich własne ultimatum i kogoś za nim wysłali? Harlow poczuł jak narasta w nim gniew. Nie miał przy sobie broni. Ale oni nie powinni wyruszać na polowanie na Ziemianina, w takiej ciemności jak ta.

Za daleko, aby zawołać kogoś z Thetis. Jego jedyną szansą jest zaskoczenie przeciwnika. Przyklęknął na jednym kolanie i zastygł, czekając i nasłuchując.

Usłyszał jak odgłos delikatnych szybkich kroków zbliża się coraz bardziej, i po chwili wypatrzył niewyraźny ciemniejszy zarys postaci, na tle ciemności. Harlow odepchnął się mocno, skoczył i twardo uderzył w zbliżającego się biegacza.

Rozdział 2

Upadli razem i przetoczyli się w ciemności. Potem wczepionego zaciekle w swojego przeciwnika Harlowa, spotkała prawdziwa niespodzianka. To była dziewczyna.

Złapał ją kurczowo za nagie, gładkie ramiona, ale po chwili udało jej się przemówić, pośpiesznym, zasapanym szeptem.

– Nie jestem twoim wrogiem. Proszę!

Chwilę zajęło mu, zanim był w stanie cokolwiek powiedzieć. Musiał zebrać w myśli ktashańskie słowa, których nauczył się wcześniej, i przez tę chwilę stał, trzymając ją w uchwycie. W oddali, na skraju miasteczka, pochodnie przesunęły się nieco i dobiegła do nich ich migotliwa poświata, ukazująca mu postać w krótkiej szacie i młodą, złotą twarz dziewczyny.

– Kim jesteś i dlaczego za mną biegłaś? – zaczął się dopytywać.

– Szukasz Brai? – powiedziała niemal bez tchu.

Harlow natychmiast spojrzał na nią czujnie.

– Chciałem z nim porozmawiać, to wszystko. Znasz go może?

– Nazywam się Yrra – odparła dziewczyna. – Jestem siostrą Brai.

Harlow natychmiast odsunął swoje ręce. Spojrzał do tyłu, w stronę poruszających się pochodni, ale one zmierzały do miasta, a nie w ich stronę. Jednak był pewien, ze pozostali tam nadal obserwatorzy, dlatego mówiąc do niej ściszył głos.

– Zaczynałem już wątpić, czy w ogóle istnieje jakiś Brai. Gdzie on jest?

Yrra odpowiedziała z pośpiechem, którego nie mógł do końca zrozumieć.

– Trzymają go jako więźnia. N'Kann i Rada. Już wcześniej nie podobało im się to co robi, i kiedy przyleciał wasz statek, złapali go, zabrali stąd i ukryli.

– Na miłość Boską, ale dlaczego?

– Żeby nie mógł z wami rozmawiać o Vornach, tak jak robił to z innymi Ziemianami – odparła.

– Z Dundonaldem? – Harlow poczuł w duszy narastające poekscytowanie. – Posłuchaj, Yrra… co twój brat powiedział Dundonaldowi? To znaczy, o Vornach.

Milczała przez chwilę.

– Są tylko legendy. To wszystko, co wiedział Brai, i co wie każdy z nas.

– Ale jakie legendy? Czy on mówią coś, skąd Vornowie pochodzą, gdzie jest ich ojczysta gwiazda?

– Tak. Mówią o tym – odparła. – Powiedziane jest w nich, że dawno, dawno temu, grupa Vornów, która przybyła na naszą planetę — na swój własny sposób — rozmawiała z niektórymi z naszego ludu, i powiedziała im o pewnych rzeczach.

– A więc wiesz na ten temat równie dużo jak twój brat! – powiedział Harlow. – Dobrze. Możesz mi więc przekazać, co on powiedział Dundonaldowi o świecie pochodzenia Vornów.

– Nie powiem ci – stanowczo stwierdziła Yrra.

– Dlaczego? Czy chodzi to, że ty również wierzysz w te przesądy na temat Vornów?

Jej odpowiedź była przesycona dumą.

– Nie wszyscy jesteśmy tacy zacofani jak N'Kann. Mój brat jest studentem i myślicielem. Chciałby zobaczyć, jak kiedyś nasza planeta staje się bardziej cywilizowana. To dlatego właśnie tak chętnie rozmawiał z tym drugim Ziemianinem, Dundonaldem.

– W porządku, a więc nie jesteś przesądna – niecierpliwie przyznał Harlow. – Dlaczego więc nie chcesz mi tego powiedzieć?

Schwyciła go za rękę.

– Posłuchaj, Ziemianinie…

– Nazywam się Harlow – przerwał jej. – Mów dalej.

– Chodzi więc o to, Harlow. Boję się o mojego brata. Oni powiedzieli… N'Kann i inni… że został zamknięty tylko dlatego, żeby powstrzymać go od rozmów z wami, że po waszym odlocie zostanie uwolniony. Ale obawiam się, że w tym swoim przesądnym zacietrzewieniu, oni mogą go zabić.

– Mów dalej – powiedział Harlow.

– Pomóż mi uwolnić Brai – chłodno oznajmiła Yrra. – Wtedy on i ja opowiemy ci o wszystkim, co wiemy o Vornach.

Harlow poczuł, jak jego chwilowo wezbrane nadzieje, opadają.

– To jest dobry pomysł – powiedział. – Nie możemy tego zrobić. Nie wolno nam wpływać na miejscowe prawo i wymiar sprawiedliwości. A ponadto, dokąd by poszedł twój brat? Po naszym odlocie po prostu złapaliby go z powrotem.

– Oprócz Ktasha są jeszcze inne miasta i inne ludy na tej planecie – odparła dziewczyna. – Brai i ja udamy się do jednego z nich. Nasi rodzice nie żyją, jesteśmy tylko we dwoje.

Harlow pokręcił przecząco głową.

– Nie mogę cię winić za to, że próbujesz go uwolnić, ale nie mogę się na to zgodzić. Nie wolno nam używać siły, to jest sprzeczne z naszymi rozkazami, a w każdym razie właśnie jesteśmy na etapie odchodzenia od tego.

– Nie będzie trzeba walczyć! – żarliwie naciskała Yrra. – Wiem gdzie on jest, i potrzebuję tylko pomocy w wyciągnięciu go stamtąd. – Dodała jeszcze: – Jeżeli tego nie zrobicie, niczego się ode mnie nie dowiecie.

Harlow poczuł się schwytany w pułapkę. Reguły Gwiezdnej Służby Badawczej były jasne. Jej funkcjonariusze mieli prawo do samoobrony, ale nie do wtrącania się w sprawy ludów zamieszkujących inne planety i rzucania na wagę swojej siły. Od samego początku podstawową zasadą było to, że nagły skok Ziemi do gwiazd nie może zostać wykorzystany dla celów prymitywnego imperializmu.

Ale jeżeli opuści ML-441 bez żadnej wskazówki dotyczącej dalszej trasy Dundonalda, bez żadnej poszlaki, dokąd Dundonald mógł się udać w swoich poszukiwaniach Vornów, to może spokojnie wracać do domu i przygotowywać raport o swojej porażce. W takim przypadku, to będzie długa droga do domu.

– Ja tylko nie wiem jak – zaczął Harlow, i nagle stanął jak ogłupiały, zaskoczony zdarzeniem, które mu przerwało.

Z bezksiężycowego nieba pełnego gwiazd, doleciał odległy pisk, który w mgnieniu oka zmienił się w grzmiący ryk. Yrra krzyknęła i wskazała ręką do góry, na czarnego olbrzyma, jaśniejącego rzędami świateł, pędzącego prosto na nich w dół, jak spadający meteor. Harlow jednak już wcześniej rozpoznał ten dźwięk, pomimo że był to ostatni dźwięk, jaki spodziewałby się tutaj usłyszeć.

– Inny statek! – zawołał. – Ale jak… – Wtedy jego nadzieje podskoczyły jak szalone. – Może to Dundonald tutaj wraca!

– Już go zobaczyli w mieście – szybko powiedziała Yrra. – Patrz!

Za nimi, w miasteczku Ktashan pochodnie rozproszyły się szaleńczo na wszystkie strony, kiedy ludzie wybiegli na ciemną równinę. Ponad monotonnym, stałym rykiem rozpruwanej przez lądujący statek atmosfery, Harlow mógł dosłyszeć odległe okrzyki gniewu i alarmu. Dokładnie sobie wyobrażał w jakim nastroju znaleźli się teraz N'Kann i pozostali, po tym jak rozkazawszy stojącemu u nich statkowi, aby odleciał, zobaczyli zamiast tego przybywający inny.

– Oni nadchodzą – powiedziała Yrra. – A jeśli znajdą mnie tutaj, jak rozmawiam z tobą w tajemnicy, zostanę uwięziona, tak jak Brai.

Złapał ją za ramię.

– Chodź ze mną. To wszystko co możesz zrobić, dopóki trochę się tu nie uspokoi.

Pobiegł razem z nią w stronę świateł *Thetis*, rozglądając się czujnie, aby nie wpaść pod lądujący statek. Przybysz jednak opadał na wolne miejsce na równinie, zaraz za *Thetis*. Kiedy on i Yrra zbliżali się już do statku, z *Thetis* wysypali się ludzie. Rzucił szybkie spojrzenie za siebie i zobaczył, że pochodnie z wolna rozlewają się po całej równinie. Nowoprzybyły statek właśnie wylądował na ziemi, a jego zamontowane na kadłubie silniki jeszcze wyrzucały chmury widmowo wyglądających jonów. Na podstawie zarysów, rozpoznał dwudziestoosobowy krążownik międzygwiezdny, podobny do jego własnego statku.

Natychmiast po tym jak razem z Yrrą dotarli do Thetis, na jego spotkanie wybiegł Kwolek.

– To inny krążownik Gwiezdnej Służby Badawczej! Kto by przypuszczał, że… – Wtedy przerwał, popatrzy na Yrrę i zagwizdał. – A gdzie pan ją poderwał?

– Natychmiast zabrać ludzi z powrotem na statek! – warknął Harlow. – Najprawdopodobniej będziemy mieli poważne kłopoty. Proszę ją również wziąć ze sobą. Garcia, pójdziesz ze mną.

Przemówił do Yrry, tak szybko jak tylko był w stanie to robić w języku Ktashan.

– Idź z nim. Zbliżają się twoi ludzie, i nie powinni zobaczyć ciebie razem z nami.

W spojrzeniu jakie mu rzuciła, błysnęło zrozumienie, i poszła za Kwolekiem bez słowa.

Pochodnie zbliżały się przez równinę, chaotycznie porozsypywane, nadal jednak znajdowały się jeszcze w pewnej odległości. Harlow popatrzył na nie z niepokojem, a następnie razem z idącym za nim Garcią, pośpieszyli wokół rufy Thetis.

Już pierwsze bliższe spojrzenie na statek, który właśnie wylądował, zburzyło jego nadzieje. Krążownikiem Dundonalda był *Starquest*, a znajdująca się pod emblematem Służby na burcie przybysza nazwa, brzmiała *Sunfire*.

– To nie Dundonald – powiedział Garcia. – Nic mi jednak nie wiadomo o żadnym innym statku Służby, który znajdowałby się gdzieś w pobliżu.

Śluza *Sunfire* otworzyła się i wyglądała jak jasny świecący kwadrat w czarnej burcie. Wyjrzała z niej głowa i ramiona jakiejś wysokiej postaci, która rozejrzała się wokoło, a następnie ruszyła w kierunku Harlowa i Garcii.

W bijącym ze śluzy świetle, z której wyłaniali się teraz kolejni ludzie w standardowych uniformach, Harlow zobaczył dużego młodego mężczyznę, o krótko ostrzyżonych rudych włosach i ostrych jasnoniebieskich oczach na grubo wyciosanej twarzy.

– Taggart, dowódca *Sunfire* – powiedział, wyciągając rękę do przodu. – Pan musi nazywać się Harlow. Jestem z Oddziału Sektora Trzeciego. Nie wydaje mi się, abyśmy kiedykolwiek się spotkali. Co się, u diabła, tutaj dzieje?

– Tutejsi ludzi nie są za bardzo zadowoleni z pańskiego przybycia tutaj – sucho oznajmił Harlow. – Jeśli miałbym coś zasugerować, to prosiłbym aby pańscy ludzie chwilowo nie opuszczali pokładu.

Taggart popatrzył na zbliżające się pochodnie i zaklął pod nosem, a następnie odwrócił się i bez namysłu wykrzyczał rozkaz dla ludzi w śluzie. Potem odwrócił się z powrotem w stronę Harlowa.

– Obowiązująca w Służbie etykieta wymaga, abym to jako pierwszy odwiedził pański statek, ale czy możemy się trochę pośpieszyć? – powiedział.

Harlow pomyślał, że lepiej jeśli tak zrobią. Pochodnie były już nieprzyjemnie blisko, a z ich strony słychać było gniewne głosy niosących je mężczyzn.

On i Taggart, razem z podążającym za nimi Garcią, ruszyli szybkim krokiem z powrotem wokół *Thetis*. Kiedy dotarli do śluzy, zobaczył, że Ktashanie zatrzymali się w odległości strzału z pistoletu, ale od ich strony dobiegł głośny okrzyk, który jak wiedział padł z ust N'Kanna.

– Ostrzegam was ponownie, macie do świtu się stąd zabrać! Wszyscy!

Już wewnątrz *Thetis*, Taggart zwrócił się do Harlowa z bardzo zmieszanym wyrazem twarzy.

– Co się stało tym ludziom? Wymieniani byli do tej pory, jako dosyć przyjaźnie nastawieni?

– I tacy byli, dopóki nie przybył tu Dundonald i nie zaczął rozmawiać z jednym z nich o Vornach – odparł Harlow.

Twarz Taggarta wyraźnie się wydłużyła.

– A więc to o to chodzi. Żałuję że w ogóle ktokolwiek usłyszał o tych przeklętych mitach o Vornach. Spowodowały one mnóstwo kłopotów, stąd aż do Ziemi, i ciągle jeszcze tworzą nowe. To właśnie dlatego tutaj jestem.

Harlowowi nie podobał się ton tej wypowiedzi, ale podczas drogi do swojej kabiny, powstrzymał się od zadawania pytań. Przeszli obok stojącej w niepewności w zejściówce, Yrry, której towarzyszył Kwolek. Taggart z podziwem przyglądał się dziewczynie, kiedy Harlow zatrzymał się na chwilę i powiedział do niej:

– Zaczekaj tutaj chwileczkę Yrro. Nie powinni cię widzieć, jak wychodzisz z naszego statku.

Przytaknęła głową, wyglądając bardzo młodo i naprawdę bardzo nieszczęśliwie, a on poszedł dalej.

Kiedy Taggart rozsiadł się w krześle w jego malej kabinie, z drinkiem w ręku, Harlow powiedział:

– Miejmy to już za sobą.

Taggart odstawił drinka.

– Zostaliśmy wyciągnięci z Sektora Trzeciego, zostawiając nasze obowiązki, i przylecieliśmy tutaj w misji specjalnej. Nasze rozkazy — zgłosić się do pana i pomagać pod pańskim dowództwem, w poszukiwaniach Dundonalda i *Starquesta*.

Harlow wpatrywał się w niego.

– Nie chciałbym być nieuprzejmy w stosunku do pana, ale po co u licha mieliby wysyłać tutaj kolejny statek? Jeśli jeden nie da rady znaleźć Dundonalda, to dwa też tego nie zrobią.

– Chodzi tutaj o coś więcej – powiedział Taggart. Spojrzał żywo na Harlowa. – Czy słyszał może pan kiedyś o Kartelu?

Harlow miał już odpowiedzieć, że nie, ale w ostatniej chwili powstrzymał się od tego. Coś sobie przypomniał. Powoli odparł:

– To było parę lat temu, w czasach tuż po wynalezieniu napędu międzygwiezdnego, czyż nie? Chodzi o gang magnatów handlowych z Ziemi, którzy zdecydowali, że napęd międzygwiezdny to zbyt zyskowna rzecz, aby pozwolić na jego posiadanie ONZ, i próbował go przechwycić na własny użytek. Dostali wtedy solidnego klapsa.

Taggart potwierdził.

– Tak, to był ten gang. Teraz, zgodnie z informacjami, które właśnie dotarły do Służby, sytuacja się powtarza. Zaczął działać nowy Kartel — grupa twardych magnatów na Ziemi, którzy gonią za czymś równie dużym, jak napęd międzygwiezdny.

– A za czym to gonią? – dopytywał się Harlow.

Taggart podniósł swoją szklaneczkę i osuszył ja do dna.

– Za Vornami.

– Za Vornami? – powtórzył Harlow. – Niech mnie… Ale po co? Nikt nawet nie wie kim, albo czym są ci Vornowie! Ani gdzie ich szukać!

– Racja – odparł Taggart. – Ale jedną rzecz ludzie wiedzą na pewno. Wiedzą, że odkąd tylko Służba zaczęła badać planety innych gwiazd, na każdej z nich, słyszeliśmy opowieści o tajemniczych Vornach, i o tym jak to oni potrafią podróżować między gwiazdami… nie korzystając ze statków, takich jak nasze. To właśnie dlatego poluje na niech pański przyjaciel Dundonald. To właśnie dlatego pewni bardzo bogaci ludzie na Ziemi, również są ekstremalnie zainteresowani ich odnalezieniem.

Pochylił się do przodu, żarliwie przemawiając.

– Wielu ludzi myśli, że ci Vornowie muszą znać jakąś metodę natychmiastowej transmisji materii na odległości międzygwiezdne. Jeśli rzeczywiście tak jest, to statki międzygwiezdne staną się niepotrzebne. Tak, to prawda. Nowy kartel, o którym właśnie się dowiedziała Służba, ma zamiar odkryć ten sekret.

Harlow wpatrywał się w niego z troską w oczach. To miało sens. Istniał taki typ ludzi, którzy uważali, że wszystko co zostało odkryte, wynalezione, albo zrobione musi posłużyć do tego, by uczynić ich bogatszymi, niż byli przedtem.

Taggart odchylił się do tyłu, przeciągając ze zmęczeniem.

– Kiedy Centrala Służby dowiedziała się, że statki Kartelu również poszukują Dundonalda, pomyśleli sobie, że lepiej wysłać panu posiłki. Ja akurat byłem pod ręką, a więc posłali mnie. Zgodnie z rozkazem, przywiozłem ze sobą trochę broni, tak na wypadek jakichś kłopotów.

Dodał, prawie wesołym tonem.

– No cóż, to już wszystko. A więc melduję się na rozkaz. Kiedy wystartujemy na poszukiwania Dundonalda, i dokąd?

– Przykro mi, ale sam nie wiem – ponuro odparł Harlow. – Jest tu pewien człowiek, który wie dokąd poleciał Dundonald, ale nie udało mi się nawet dostać do niego.

Opowiedział Taggartowi o Brai i o tym co powiedziała mu Yrra. Rudowłosy kapitan słuchał uważnie. Potem zawołał:

– Dlaczego? Nie powinno być z tym jakiegoś specjalnego problemu. Pomagamy dziewczynie, zabieramy stamtąd jej brata, i ten Brai powie nam wszystko, czego chcemy się dowiedzieć.

– Ale regulaminy Służby zabraniają wtrącania się do miejscowych praw i wymiaru sprawiedliwości… – zaczął Harlow.

Taggart parsknął i zerwał się na nogi.

– Niech pan posłucha, Harlow. Przylatuję prosto z Centrali Służby, i mogę panu powiedzieć coś takiego: Służba jest tak przerażona możliwością, że ten Kartel dobierze się do Vornów i ich tajemnic, że przymknie oko na każde drobniejsze naruszenie regulaminów. Ale z pewnością *nie przymknie* oka na pańskie ewentualne niepowodzenie.

To również miało sens, Harlow dobrze zdawał sobie z tego sprawę. Od początku był świadom, że nie może odlecieć z ML-441, nie dowiadując się niczego.

– To co powinniśmy zrobić, to wziąć tę dziewuchę, i wycisnąć z niej wszystkie informacje – warknął.

Taggart uśmiechnął się szeroko.

– Z pewnością bym mnie to ucieszyło. Ale ona może tak naprawdę nie wiedzieć wszystkiego, a wiec musimy dostać się do jej brata. Ja zajmę się tą robotą.

Harlow odparł:

– *My* się zajmiemy. Nie możemy wysłać ludzi na niebezpieczną misję, która jest niezgodna z prawem, ale możemy zrobić to sami.

Dotknął przycisku interkomu i powiedział kilka słów do mikrofonu. Wkrótce do kabiny weszła Yrra. Taggart delikatnie zagwizdał z uznania, podobnie jak wcześniej zrobił to

Kwolek. Ale ona wpatrywała się tylko z niepokojem w Harlowa, a jej piękne brązowe oczy rozjaśniły się, kiedy usłyszała co ma do powiedzenia.

– Musimy zrobić to dzisiejszej nocy, ponieważ jutro twój lud ma nam rzucić się do gardeł – skończył. – Jest tylko jedno pytanie, czy możesz zaprowadzić nas dwóch do miejsca, w którym zamknięty jest twój brat, tak by nikt nas nie zauważył?

– Jestem niemal pewna, że mogę! – zawołała Yrra.

– Pewność siebie, to wspaniała sprawa – chrząknął Harlow. – W porządku. Taggart, wyruszamy na naszą misję rozbicia więzienia, za godzinę. Musimy zatoczyć wielki łuk, aby wejść do miasta od drugiej strony.

Dwie godziny później, on, Taggart i Yrra, zrobili już większą część swojego wielkiego obejścia, i podchodzili do miasta Ktashan, od przeciwległej strony. Wędrowali cicho w ciemności, po miękkiej trawie, a wiatr przynosił im ciężkie aromatyczne wonie kwitnących drzew, rosnących poza miastem, zmieszane z zapachem cierpkiego dymu z prymitywnych lamp na olej roślinny, używanych przez tych ludzi. Widoczne spoza drzew jednostajne kamienne miasto tworzyło olbrzymią czarną plamę, poznaczoną delikatnie oświetlonymi oknami. Wyglądało dla całego świata zupełnie jak jeden wielki, kamienny, bezładnie zbudowany zamek, który ciągnął się i ciągnął bez końca.

Ciepłe palce Yrry, zamknęły się na nadgarstku Harlowa.

– Od tego miejsca muszę was poprowadzić.

Harlow skinął głową i usłyszał mamrotanie Taggarta:

– Wszędzie wydaje się być całkiem spokojnie.

– Za spokojnie – wyszeptał Harlow. – Większość ludzi jest na zewnątrz miasta, obserwując nasze statki i czekając na świt. Wtedy wszystko wybuchnie.

On i Taggart szli przed siebie w ciemnościach, a Yrra pokazywała im drogę, poruszając się cicho, jak cień. Z nieba obojętnie spoglądały na nich obce gwiazdy, ozdobny całun, wyglądający jeszcze bardziej niesamowicie dla oczu Ziemian, dzięki olbrzymiej, zadumanej czarnej plamie mgławicy Końskiego Łba. Harlow spoglądał w górę na to nieznajome niebo i żałował, że w ogóle ktokolwiek, kiedykolwiek usłyszał o Vornach. Chciałby aby pierwsze satelity i rakiety nigdy nie zostały wynalezione, aby ludzkość miała wystarczająco dużo rozsądku, by pozostać na swojej własnej planecie.

Nie wiedział jeszcze, jak desperacko będzie tego pragnął zanim zapadnie poranek.

Rozdział 3

Szli teraz ciemną, wąską uliczką, niewiele więcej niż zwykłym korytarzem wykutym w skale. Po obu stronach nic, tylko takie same kamienne ściany, od czasu do czasu jedynie drzwi lub przykryte okiennicami okna. Drzwi i okiennice zrobione były z jakiegoś metalu, i nie przedostawał się przez nie nawet jeden promyk światła. Panowała kompletna cisza, jedyne dźwięki jakie do nich dobiegały, to odgłosy stąpnięć ich butów, które napiętym do granic wytrzymałości nerwom Harlowa wydawały się dostatecznie głośne, aby obudzić umarłego. Prześladowała go myśl, że to kamienne miasto łatwo mogło stać się wspaniałą pułapką.

Twórcy tego miejsca, musieli być naprawdę cierpliwymi ludźmi. Znaleźli wielką, zwartą formację skalną z czerwonego piaskowca, i zabrali się do roboty, rzeźbiąc w niej miasto. Ile wieków zajęło im wykuwanie i drążenie miękkiego kamienia, wolał nawet nie myśleć. Ale wszystkie pomieszczenia, ściany, ulice i wąskie przejścia, takie jak to, nabrały swoich kształtów pod ostrzem dłuta, a w miarę jak społeczność ludzka rozrastała się, wdzierały się coraz dalej i coraz głębiej w skałę, tworząc w końcu to bezładne, poplątane, kamienne miasto.

– To są przejścia pomiędzy magazynami ziarna – wyszeptała Yrra. – Teraz będziemy musieli przejść przez ulicę, i to tak aby nas nikt nie zobaczył.

Kiedy doszli do szerszej przecznicy, Harlow dziękował Bogu, nie było tutaj latarni ulicznych. Jedynym oświetleniem był blask z ciągnących się wzdłuż ulicy okien, ale nawet to wystarczało, by zobaczyli przed sobą mnóstwo Ktashan, zarówno mężczyzn jak i kobiet. Biegali po ulicy we wszystkie strony, nawołując do siebie podnieconymi głosami.

– Mówią o przybyciu pańskiego statku – wyszeptał Harlow do Taggarta.

– Tak, złapałem to – nieoczekiwanie odparł Taggart, a po chwili wyjaśnił. – Uczyłem się trochę z kopii paru taśm językowych, jakie nagrała tu pierwsza ekspedycja Służby — ta jeszcze przed Dundonaldem. Po drodze tutaj, nie było niczego lepszego do roboty.

Harlow wyczekał dopóki w zasięgu najbliższego kwartału ulicy nie będzie żadnych przechodniów, a potem wyszeptał polecenie. Przeskoczyli przez cienistą ulicę, do kolejnego wąskiego kamiennego przejścia.

W miarę jak Yrra wprowadzała ich coraz głębiej w ciemny kamienny labirynt, Harlow czuł, jak to miejsce coraz bardziej ciąży mu na duchu.

Ile jeszcze pozostało do wschodu słońca?

I w ogóle, dlaczego Dundonald musiał wyruszyć na te cholerne łowy na Vornów?

Dlaczego…

– Prosto przed nami – doleciał do niego szept Yrry. – Powinien być tam strażnik. Widzicie go gdzieś?

Znaleźli się w kamiennej alejce, tak wąskiej, że Harlow nazwałby ją po prostu korytarzem, gdyby nie to, że od góry nie była przykryta. W niewyraźnym świetle widać było mężczyznę, Ktashanina, który w swojej kusej szacie wyglądał na bardzo wysokiego. Stał przed metalowymi drzwiami trzymając w ręku przedmiot, podobny do metalowego słupka, zakończonego ostrzem.

Harlow stwierdził:

– Jeśli ruszymy na niego prosto to zacznie wrzeszczeć. Yrra, czy mogłabyś jakoś pójść naokoło i podejść do niego od drugiej strony, tak by odwrócił się do nas plecami?

W odpowiedzi, tylko powiodła spojrzeniem wzdłuż drogi, którą tutaj przyszli. Harlow usłyszał jak Taggart poruszył się niespokojnie, i zobaczył w jego dłoni broń.

– Och, nie – wyszeptał. – Żadnej strzelaniny. Nigdy byśmy nie zdołali wyjaśnić tego w Centrali Służby, a w każdym razie strzały i tak poderwałaby całe to miejsce na nogi.

– W porządku, ale tak będzie dużo trudniej – odparł Taggart. – Ten słupek z mieczem na końcu, wygląda na prawdziwą broń.

Gdzieś z ciemności przed nimi, doleciał do nich głos Yrry. Mówiła coś do strażnika, Harlow wychwycił tylko, że poprosiła go o możliwość zobaczenia się z bratem.

Kiedy podeszła bliżej, Ktashanin odwrócił się w jej stronę i wyburczał szorstko odmowę.

– Teraz – powiedział Harlow.

Ruszył jako pierwszy, podchodząc na paluszkach, jak dziecko bawiące się w polowanie. Potem skoczył strażnikowi na plecy.

Jedną ręką zakrył mężczyźnie usta, aby zapobiec krzykom. Nie pomyślał jednak o tym, że ten Ktashanin może być silny jak byk. Mężczyzna oderwał jego dłoń i wyciągnął do tyłu drugą rękę, usiłując uchwycić gdzieś Harlowa, za coś co uda mu się złapać.

To upokarzające, uświadomić sobie, że podczas gdy we własnych oczach jesteś całkiem silny i młody, stoisz naprzeciw kogoś dużo silniejszego od siebie. Harlow zdał sobie z tego sprawę i wczepił się szaleńczo w strażnika. Potem rozległ się głuchy odgłos uderzenia i pod jego przeciwnikiem załamały się nogi. Upadł tak niespodziewanie, że Harlow poleciał na ziemię razem z nim. Zobaczył wtedy, że Ktashanin zupełnie odpłynął. Pozbierał się i wstał.

Taggart zachichotał.

– Broń w ręku można wykorzystać na dużo więcej sposobów, niż tylko do strzelania – powiedział. Uderzył strażnika w głowę kolbą pistoletu.

Yrra już dopadła metalowych drzwi, ciągnąć za uchwyt, ale bezskutecznie. Odwróciła się do nich i powiedziała szybko:

– Zamknięte na klucz.

– Spodziewałem się tego – odparł Harlow. – Odsuń się trochę do tyłu.

Nałożył grube rękawice, które miał schowane w kieszeni, a z innej kieszeni wyciągnął przeniesioną małą spawarkę kompaktową. Dotknął przycisku i przeciągnął cienkim, skwierczącym językiem ognia dookoła zamka.

Fragment drzwi razem z zamkiem, zupełnie wypadł. Harlow złapał go w ostatniej chwili, zanim zadźwięczał na kamieniach.

Taggart wyciągnął rękę, chwycił za wyciętą w drzwiach dziurę i otworzył je. Potem zaklął z pasją i zaczął dmuchać na poparzone palce.

Yrra wbiegła w panującą za drzwiami ciemność. Usłyszeli jak woła przyciszonym głosem:

– Brai!

Harlow ruszył zaraz za nią. Taggart na szczęście miał przy sobie latarkę i ją zapalił.

W pustym kamiennym pomieszczeniu, pozbawionym okien i jakiegokolwiek umeblowania, poza drewnianą pryczą, siedział młody Ktashanin trajkocący teraz w podnieceniu. Odwrócił swoją żarliwą, przystojną, złotą twarz, w stronę Harlowa i Taggarta.

– Właśnie mu wszystko przekazałam – szybko zawołała Yrra. – Opowie wam o wszystkim, co powiedział Dundonaldowi, jeśli uda nam się stąd uciec.

– Dundonald był moim przyjacielem – dumnie oznajmił Brai, w niedoskonałym angielskim. – Nauczyłem się od niego wielu rzeczy. Nauczyłem się waszego języka…

– To świetnie – pośpiesznie przerwał mu Harlow, – ale główną rzeczą, jest szybko wydostać się z tej pułapki dla szczurów. Możemy sobie porozmawiać, kiedy już będziemy z powrotem na pokładzie *Thetis*.

Wyszli na zewnątrz, gdzie Taggart sprawdził nieprzytomnego strażnika, a następnie zaciągnął go do celi, której miał pilnować.

– Dojdzie do siebie nie dłużej niż za jakąś godzinę, może trochę wcześniej – powiedział Taggart. – Ale jeśli do tego czasu nie wrócimy jeszcze na statki, to nigdy tam nie wrócimy.

W ciągu piętnastu minut prześlizgnęli się z powrotem przez ciemne uliczki, i wyruszyli pośpiesznie poza miasto, na oświetloną światłem gwiazd równinę.

Harlow ciągle nie mógł uwierzyć, że im się udało. Czuł jeszcze w duszy tę ponurą pewność, że zostaną znalezieni i złapani w pułapkę, w tym kamiennym labiryncie, i ciągle wydawało mu się niemożliwe, że do niego weszli, zabrali ze sobą Brai, i wydostali się z stamtąd, bez żadnego problemu. Było to możliwe jedynie dzięki faktowi, że większość Ktashan w tej chwili przebywała na równinie poza miastem, obserwując ziemskie statki.

Również z powrotem poszli dużym łukiem, tak by nie natknąć się na Ktashan, na równinie. Maszerowali szybko, nie rozmawiając. W ciągu mniej niż godziny, tak jak wcześniej powiedział Taggart, bez problemu pokonali całą drogę i zbliżali się do dwóch statków międzygwiezdnych, podchodząc do nich od drugiej strony, przeciwległej w stosunku do miasteczka.

Światła statku Taggarta, *Sunfire*, który stał bliżej nich, błyszczały jasno w ciemnościach nocy. Kiedy doszli do niego, Taggart wydał z siebie cichy gwizd. W chwilę potem, między nimi a *Sunfire*, pojawiło się kilku ludzi, zmierzających w ich kierunku.

– Nie było potrzeby, żeby ściągać tutaj ludzi – powiedział zirytowany Harlow.

– O, tak. Proszę mi wierzyć, że była – odparł Taggart.

W jego głosie zabrzmiał jakiś ton kpiny, którego Harlow wcześniej nie słyszał, więc szybko odwrócił się do tyłu. Światła z Sunfire padały na grubo ciosaną twarz Taggarta, widać było więc, że tamten się uśmiecha, a trzymana w jego ręku broń, wycelowana jest prosto w Harlowa.

– Nie chcę pana zabijać, ale szczególnie się tym nie zmartwię, jeśli będę musiał to zrobić – stwierdził Taggart. – Proszę się nie ruszać.

Harlow gapił się osłupiały, za bardzo w tej chwili wstrząśnięty, żeby pojąć całą sytuację.

– Co z pana za kapitan Służby, u diabła … – rozpoczął i w tym momencie zrozumiał. – Pan nie jest z Gwiezdnej Służby Badawczej, a ja byłem na tyle głupi, że dałem się na to nabrać!

– Zgadza się – lekkim tonem odparł Taggart. – Ale jeśli chodzi o jedną sprawę, powiedziałem panu prawdę. Kartel rzeczywiście *wysłał* statki, w poszukiwaniu Dundonalda i Vornów. A *Sunfire*, pomimo tego, że namalowaliśmy na nim emblemat Służby, jest jednym z tych statków.

Katastrofalne konsekwencje tego faktu, uderzyły Harlowa jak obuchem. Kartel, który polował na Vornów i ich tajemnice, miał w Taggarcie naprawdę sprawnego agenta. Ten człowiek podążył jego śladem do układu ML-441, na swoim fałszywym statku, kiedy dowiedział się, że kluczem do odnalezienia Dundonalda i Vornów był Brai, odważnie wyruszył z nim na jego poszukiwania, a teraz miał zamiar…

– Brai… Yrra… uciekajcie! – wrzasnął Harlow, rzucając się jednocześnie na Taggarta.

Cały umysł przepełniała mu tak ogromna wściekłość, że wycelowana w niego broń przestała się liczyć. Jedyne co miało znaczenie to szalona determinacja, aby sprytna sztuczka Taggarta, zakończyła się niepowodzeniem.

Taggart zupełnie nie oczekiwał takiego zwariowanego posunięcia. Wystrzelił. Ale ułamek sekundy za późno, i broń ryknęła tylko tuż koło ucha Harlowa, w chwili gdy właśnie uderzał w Taggarta.

Upadli na trawę i tarzali się, walcząc zawzięcie. W pewnej chwili Harlowowi mignął tylko widok uciekającej jak zraniony jeleń Yrry, za którą biegło kilku mężczyzn, podczas gdy inni ludzie trzymali Brai, biciem zmuszając go do uległości.

Z oddali rozległy się okrzyki alarmu. Harlow wiedział, że to któryś z jego ludzi na *Thetis* musiał usłyszeć huk wystrzału. Walczył zawzięcie, zmagając się w trawie z Taggartem, aby uniemożliwić mu drugi strzał, który rozerwał by jego ciało.

I wtedy świat się na niego zawalił.

Uderzenia nigdy nie czuje się jak uderzenie, czuje się je tak, jakby niebo spadało na głowę. Nie, to on był tym który spadał, coraz niżej, w nieskończone otchłanie ciemności i bólu. Jeden z ludzi Taggarta podbiegł, czymś go walnął, i jego pozbawione czucia dłonie nie mogły już powstrzymać niczego.

Usłyszał tylko jakiś głos, mówiący ochryple:

– Zbliżają się ludzie ze Służby!

Następnie dobiegły go słowa Taggarta:

– Wynosimy się stąd i to szybko.

Potem nic już nie słyszał ani nie czuł, jak mu się wydawało, przez bardzo długi czas, chociaż potem zorientował się, że odpłynął zaledwie na kilka chwil. Zawzięcie walczył o powrót do przytomności. Leżał w trawie, a jakieś głosy zaczęły gdzieś coś krzyczeć głośniej. *Sunfire* wznosił się nad równiną, ciemny i ogromny, stojąc nieruchomo kilkaset stóp od niego.

Kiedy Harlow próbował podnieść się z ziemi, smukłe, wystające silniki napędu jonowego, rozmieszczone wzdłuż kadłuba, na rufie *Sunfire*, wyrzuciły do tyłu obłoki widmowego światła. Pod naporem silników, statek skoczył w górę, a wytworzona w powietrzu fala uderzeniowa, uderzyła Harlowa, odrzucając go do tyłu i ponownie zbijając z nóg.

Sunfire odleciał.

Od chwili kiedy ludzie Taggarta wyłonili się z ciemności, wszystko działo się tak szybko, że Harlow ciągle nie do końca mógł to jeszcze ogarnąć.

Po chwili dookoła zaroili się jego ludzie, Kwolek, Garcia, i inni, przekrzykując się nawzajem i próbując dowiedzieć się, co się stało. Ale Yrra uwiesiła się mu za rękę i zdołała przekrzyczeć ich wszystkich.

– Brai! Gdzie jest Brai?

Harlow rozejrzał się wokoło, z boląca głową, nadal widząc cały świat spowity we mgle. Przemówił z trudem w jej języku.

– Brai zniknął? A więc zabrali go ze sobą. Oczywiście musieli to zrobić. On przecież wie dokąd poleciał Dundonald, a po to właśnie przyleciał tutaj Taggart.

– Ale co u diabła dzieje się ze Służbą? – wykrzyknął Kwolek, tonem czystej odrazy. – Jeden kapitan nokautuje drugiego, strzela, i w dodatku…

– Taggart nie był ze Służby. Był oszustem, a jego statek również był fałszerstwem – powiedział Harlow. Dodał jeszcze kwaśno: – A ja się na to nabrałem. Zrobił ze mnie głupca, na sto procent.

Odepchnął Kwoleka na bok, coraz pewniejszą ręką.

– Ze mną wszystko w porządku. Musimy natychmiast startować. Ruszamy w pościg za Taggartem, i nie możemy pozwolić na to, aby uciekł nam poza zasięg radaru. Ruszać się!

Natychmiast ruszyli, biegnąc z powrotem do *Thetis*. Kwolek już po drodze zaczął wywrzaskiwać rozkazy. Ale Yrra nadal wściekle uczepiła się Harlowa.

– Lecę z wami – zażądała. – Po Brai.

Już miał jej powiedzieć, że nie może tego zrobić, ale wtedy zastanowił się nad jej sytuacją. Pomogła Brai wydostać się z celi, i kiedy jej ludzie zorientują się w tym, to sam nie wiedział, co mogą jej zrobić.

– W porządku, ale musimy szybko wystartować– powiedział. – Chodźmy.

Pobiegł w stronę *Thetis*, lekko się potykając. Kwolek wybiegł na jego spotkanie, a z jego głosu i okrągłej czerwonej twarzy wyzierała wściekłość.

– Nie ma mowy o starcie, a przynajmniej nie za chwilę – oznajmił mu Kwolek. – Byli naprawdę cwani, niech ich diabli. Proszę tylko spojrzeć na to.

„To” było jedną z wystających dysz rufowych silników jonowych *Thetis*. Ktoś, przy pomocy spawarki, nadciął ją do połowy, w miejscu w którym wychodziła z kadłuba statku.

Musimy wymienić te dyszę – mówił dalej Kwolek, – albo nam wybuchnie, w minutę po tym, jak włączymy napęd.

Harlow pomyślał, że Taggart nie przeoczył naprawdę niczego.

Kiedy tak stali, otoczeni zupełną ciszą, usłyszeli nagle zgiełk odległych głosów. Dochodził spoza ciemnej równiny. Wyłoniły się stamtąd pochodnie, wiele pochodni, szybko przemieszczających się w kierunku *Thetis*. Okrzyki ludzi, prowadzących cały tłum, stawały się coraz głośniejsze.

– Moi rodacy odkryli, że Brai uciekł – powiedziała Yrra. – Myślą, że to my go mamy, i…

Nie musiała kończyć. Zamiary rozwścieczonych Ktashan, były zupełnie jasne.



Rozdział 4

Na pokładzie *Thetis*, było bardzo głośno. Częściowo hałas powodował Kwolek i jego ludzie, na dole w trzewiach maszynowni, ale jedynie w niewielkiej części. Zdecydowana większość dobiegała z zewnątrz.

Harlow czuł się, jakby był we wnętrzu wielkiego bębna o żelaznych ścianach. Stojąca obok Yrra zasłoniła sobie uszy dłońmi. Czuł, jak wzdryga się przy co bardziej głośnych walnięciach, i zdawał sobie sprawę, że jest bardzo wystraszona. Nie tyle samych hałasów, ale tego co mogły dla niej oznaczać.

Znajdujący się przed nimi ekran, pokazywał teren wokół statku. Roił się on wręcz od Ktashan. Słońce stało już wysoko na niebie, i zarówno z powodu emitowanego przez nie ciepła, jak i własnej aktywności, większość z mężczyzn zdjęła zazwyczaj noszone krótkie szaty, pozostając jedynie w luźnych spodenkach, które nie krępowały ich ruchów. Ich złote ciała błyszczały, świecąc potem oraz rozsadzającą ich energią. Walili tak w kadłub *Thetis* bez wytchnienia, od ponad trzech godzin, i ciągle nie wykazywali żadnych oznak zmęczenia. Jak do tej pory, dur-metalowy kadłub statku, oparł się wszystkiemu co mieli, od kamieni do prymitywnych świdrów i łomów. Ale uparte, metodyczne łupanie, zaczynało działać Harlowowi na nerwy.

Pochylił się nad interkomem.

– Jak tam wam idzie?

Odpowiedziało mu szorstkie warknięcie Kwoleka.

– Nie pójdzie nam w ogóle, jeśli nie przestanie mi pan przeszkadzać. Co pięć minut jakieś głupie pytania!

– Okej – ułagodził go Harlow. – W porządku.

Nie winił Kwolka. Jego chłopcy robili co tylko mogli. Z zewnątrz mogliby wymienić uszkodzone dysze w czasie o połowę krótszym, ale znajdujący się tam Ktashanie powodowali, że byłoby to nierozsądne. A więc robiono to przy pomocy procedury alarmowej, przewidzianej do stosowania w kosmosie, od wewnątrz statku, z jedną tylko różnicą, która nieco pomagała. Nie musieli na sobie nosić przez cały czas skafandrów próżniowych.

– Teraz to już długo nie potrwa – powiedział do Yrry. Musiał przy tym krzyczeć, ale próbował aby jego słowa zabrzmiały tak pocieszająco, jak to tylko było możliwe. Wiedział o czym przez cały czas rozmyślała. Sam zresztą myślał o tej samej sprawie. Gdyby Ktashanom jakoś udało się wedrzeć do środka, ich szanse na przeżycie stałyby się krańcowo małe. Nie mieli co prawda Brai na pokładzie, ale kiedy wydostali go z więzienia, popełnili występek przeciwko zwyczajom i miejscowym tabu. A wszystko to, co stało się później, prawdopodobnie tylko jeszcze bardziej zdeterminowałoby N'Kanna do surowego ich ukarania, tak by nie wypuścić na wolność nikogo, kto wiedział o zagrożeniu związanym z Vornami.

Wziął Yrrę pod ramię i odwrócił ją od ekranu. Zaczął ją wypytywać:

– Opowiedz mi o Vornach. Chcę wiedzieć wszystko, co twój brat powiedział Dundonaldowi.

Wystraszyła się, ale po chwili mu odpowiedziała.

– Opowiedział Dundonaldowi wszystko, co wie, wszystko to co wie nasz lud. To tylko legenda, ponieważ było to dwa pokolenia temu. – Przez chwilę rozmyślała, a następnie mówiła dalej. – Vornowie przybyli na tę planetę…

Harlow przerwał jej

– Ale w jaki sposób przybyli? Jak wyglądali?

Yrra zapatrzyła się.

– Nie wiadomo jak przybyli. Nie mieli takiego statku, jak ten. W ogóle nie mieli żadnego statku. Nagle po prostu się tu pojawili.

I tak właśnie, pomyślał sobie Harlow, brzmiała nieustająco taka sama opowieść o Vornach, jaką Służba poznała już na kilku planetach. Oni nie używali statków, tylko po prostu się pojawiali. Jedyną odpowiedzią na tę zagadkę, wydawało się zastosowanie jakiejś formy natychmiastowej transmisji materii. Trudno więc jakoś specjalnie się dziwić, że Kartel na Ziemi, próbował przechwycić taki sekret.

– Co do tego, jak wyglądali – mówiła dalej Yrra, – opowieści są dziwne. Mówi się, że byli ludźmi, ale nie ludźmi takimi jak my… że byli z mocy i płomienia, a nie ciała. Jak coś takiego mogłoby być możliwe?

To także były tajemnicze opisy, przekazywane już wcześniej Służbie na innych planetach. Mogły one oznaczać cokolwiek, a być może zupełnie nic.

– Nie wiem – przyznał Harlow. – Mów dalej.

– Powiedziano również, że Vornowie w jakiś sposób przemawiali do moich rodaków. Moi rodacy byli bardzo wystraszeni. Ale Vornowie powiedzieli im, że nie przybyli tutaj, aby ich skrzywdzić, że są jedynie gwiezdnymi wędrowcami, odwiedzającymi wiele różnych planet, i tę po prostu również tylko odwiedzają. Powiedzieli też, że teraz już wracają na swoją planetę, ale pewnego dnia mogą jeszcze tu ponownie przybyć.

– Czy Vornowie powiedzieli, gdzie był ich rodzinny świat? – spytał Harlow.

To było decydujące pytanie i z napięciem oczekiwał na odpowiedź.

– W Wielkiej Czerni – odparła Yrra, używając nazwy jaką Ktashanie nadali Mgławicy Końskiego Łba, która była takim imponującym elementem charakterystycznym ich nocnego nieba. – Vornowie powiedzieli, że poza dwiema niebieskimi gwiazdami, płonącymi na krawędzi Czerni, jest zatoka, która rozciąga się daleko w jej środek, a znajdująca się w głębi tej zatoki zielona gwiazda, jest ich gwiazdą ojczystą.

Nadzieje Harlowa wystrzeliły w górę. Już wcześniej zauważył dwie bliźniacze niebieskie gwiazdy na obrzeżach Końskiego Łba… i to brzmiało jak jasna wskazówka.

– I właśnie to Brai powiedział Dundonaldowi? – spytał, a Yrra potwierdziła skinięciem głową.

– Tak. I dlatego właśnie mój lud potępił Brai. Ponieważ kiedy Dundonald stąd odlatywał, powiedział, że wyrusza na poszukiwania planety Vornów, a dla wielu z moich rodaków szacunek dla Vornów jest taki wielki, że uznali to za świętokradztwo.

Walenie o kadłub *Thetis* nagle ustało. Korzystając z chwili ciszy, Harlow zamyślił się głęboko. W końcu powiedział:

– Niezależnie od tego, czy Vornowie tam naprawdę są, czy ich nie ma, Dundonald tam właśnie poleciał, a więc i ja muszę to zrobić. W to miejsce również uda się Taggart, zaraz jak tylko wydostanie tę informację z Brai.

– Brai nigdy by niczego nie powiedział takiemu zdradzieckiemu wrogowi jak on… nawet gdyby go torturowano! – dumnie wygłosiła Yrra.

Harlow popatrzył na nią z lekkim współczuciem.

– Nie znasz jeszcze Ziemian. Oni są zbyt sprytni, żeby jeszcze używać tortur. Zamiast tego używają procesu zwanego narko-syntezą i innych podobnych rzeczy. Brai powie im wszystko, co wie.

Yrra nie odpowiedziała. Odwróciła wzrok w stronę ekranu, i jej oczy rozszerzyły się i pojaśniały od nowej grozy.

Harlow podążył wzrokiem za jej spojrzeniem i jego nerwy również skręciły się od wstrząsu. Zobaczył właśnie dlaczego Ktashanie przestali łomotać o kadłub *Thetis*.

Wszyscy złociści ludzie wybiegli na równinę, na spotkanie czegoś, co powoli zbliżało się od strony miasta. Toczyło się ociężale i dostojnie na drewnianych kołach, popychane przez gromady spoconych ludzi. To był potężny taran, zrobiony z pnia olbrzymiego drzewa, z kamiennym zakończeniem.

Harlow skoczył do interkomu.

– Kwolek masz może z dziesięć minut! Przyciągnęli tu dziadka do orzechów, który na pewno rozłupie nasze płyty.

– Dziesięć minut? Potrzebujemy jeszcze godziny! – odpowiedział mu głos Kwoleka. – Wymontowaliśmy uszkodzoną dyszę, ale potrzebujemy jeszcze drugie tyle czasu na to aby zainstalować nową.

Harlow myślał przez chwilę, a potem podjął decyzję. Można było zrobić tylko jedno.

– Zawiesić prace – powiedział. – Zaczopuj podstawę dyszy i chodź tu na górę. Wystartujemy w takim stanie jak jest.

– Czy pan zwariował? – zawył Kwolek, ale Harlow z trzaskiem wyłączył interkom.

Kwolek i Garcia pojawili się na mostku minutę później. Czerwona twarz Kwoleka była cała wymazana brudem, i widać było, że jest niesamowicie zdenerwowany.

– Powinien pan wiedzieć, że start na niezrównoważonych silnikach może w ogóle zniszczyć Thetis – oznajmił.

Potem zobaczył ekran i zmęczonych, ale tryumfujących Ktashan na równinie, popychających razem swój potężny taran w stronę statku, coraz szybciej i szybciej. Powiedział:

– Och.

Pochylił się nad interkomem i zaczął do niego mówić, głośnymi pospiesznymi słowami, kończąc niecenzuralnym poleceniem, aby zrobić to szybko. Harlow wziął Yrrę pod ramię i odsunął ją od ekranu, podczas gdy sam nie mógł się powstrzymać od spoglądania z fascynacją i grozą na ociężale zbliżający się taran.

– To nie będzie łatwe – powiedział jej. – Prawdopodobnie wystraszysz się na śmierć, ale to nie potrwa długo.

W obydwu przypadkach, pomyślał sobie, to długo nie potrwa. Zarówno jeśli uda nam się to zrobić, jak też jeśli nie.

Przypiął ją pasami do swojej własnej koi, dbając o to, by zapewnić jej nie tylko bezpieczeństwo, ale również wygodę. Kiedy to robił, wyglądała na taką cierpliwą, małą i wystraszoną, ale zbyt dumną, żeby to po sobie pokazać, że ją pocałował. Potem pobiegł z powrotem do kabiny nawigacyjnej.

Kwolek i Garcia już się poprzypinali, Kwolek siedział z uchem przyklejonym do interkomu, a obaj bacznie obserwowali ekran. Taran był już znacznie bliżej. Jego masywna głowa z czerwonego kamienia, wyglądała jakby była dostatecznie ciężka i mocna, aby skruszyć kamienne mury miasta. I pewnie taka była.

Kwolek kiedy go zobaczył, powiedział:

– Jeszcze parę minut. Musimy wyeliminować wszelkie ryzyko, że czop wybuchnie kiedy wejdziemy w próżnię.

Widać było, że się mocno spocił. Podobnie również Garcia, ale on wyglądał dużo lepiej, ponieważ jakoś udało mu się uchronić kołnierz swojej tuniki od poplamienia. Harlow powiedział:

– Dajcie mi połączenie na głośniki zewnętrzne. Szybko.

Sam przypiął się również do swojego fotela antyprzeciążeniowego, podczas gdy Garcia przerzucił kilka przełączników i wykonał kilka połączeń na pulpicie komunikatora. Potem Harlow także zaczął obserwować ekran. Na cylindrycznym korpusie tarana, widać było ślady po walce, historię dawnych bitew zapisaną nacięciami i pęknięciami na kamiennej głowicy. Można było już całkiem wyraźnie rozróżnić twarze poszczególnych Ktashan. Były to twarze fanatyków, takie same w całej galaktyce, niezależnie od tego gdzie się je zobaczyło. Ludzi którzy po prostu wiedzieli, że mają rację, ludzi pozbawionych wszelkiej litości.

Garcia podał mu mikrofon.

– Proszę. – Popatrzył na wielką czerwoną głowę tarana i skulił się w tak mocno, jak pozawalały mu poręcze fotela, tak jakby chciał ścisnąć strukturę atomów swego ciała, aby wytrzymało zbliżający się wstrząs uderzenia.

Harlow ryknął do mikrofonu. Wzmacniacze zwiększyły siłę jego głosu, pomnażając ją tysiąckrotnie i emitując wypowiedziane słowa przez system zewnętrznych głośników statku.

– N'Kann! – zawołał. – Masz natychmiast zabrać stąd swoich ludzi! Startujemy. – Na ekranie zobaczył zaskoczone twarze, odwrócone do góry, w stronę z której dochodził gigantyczny dźwięk jego głosu, i zastygłe w połowie ruchu ciała. – Zaraz startujemy! Uciekajcie stąd, albo zginiecie. N'Kann, czy mnie słyszysz? Zostawcie ten taran i uciekajcie!

Kwolek odwrócił się od interkomu i powiedział:

– Wszystko gotowe.

Harlow wpatrywał się w ekran. Część z Ktashan odwróciła się, żeby uciekać. Inni stali nieruchomo, ciągle nie mogąc się zdecydować. Jeszcze inni, najtwardsi i najbardziej gwałtowni, krzyczeli i wymachiwali rękoma, wskazując na statek i popędzając taran.

Harlow jęknął:

– Głupcy – powiedział. – Nie chcę ich pozabijać. Nie mogę…

Taran drgnął ociężale i ruszył naprzód.

– Odejdźcie stąd! – wrzasnął na niech, z nutą desperacji w głosie, i dotknął dźwigni na głównym pulpicie sterującym.

Thetis zadrżała i zaczęła mruczeć sama do siebie, głęboką basową nutą przewidywania.

Taran zatrzymał się. Stojący przy nim ludzie stanęli, wpatrując się w statek. Za nimi, główna masa tłumu zaczęła się roztapiać, z początku powoli, a potem z rosnącą szybkością.

Harlow ponownie dotknął dźwigni, przesuwając ją do przodu o jedną kreskę. Mruczenie przeszło w warkot, pieśń pozbawioną słów. *Thetis* zbierała się do skoku w górę.

– Odejdźcie stąd! – krzyknął Harlow do mikrofonu, ale jego głos niemal utonął w żelaznym głosie statku. Wtedy jednak nagle ludzie odwrócili się od tarana i zaczęli uciekać przez równinę.

Harlow zacisnął zęby i szarpnął za dźwignię mocy, przesuwając ją maksymalnie, do oporu.

T*hetis* ruszyła w górę, wielkim, chwiejnym skokiem, jak ptak ze zranionym skrzydłem. Ale była straszliwie wielkim ptakiem i potwornie silnym, a gwałtowność jej szarpnięć niemal wytrząsała gałki oczu z głowy Harlowa. Walczył, pomimo gęstniejącej mgiełki przeciążenia, aby nie wyrwała się spod kontroli żyroskopów stabilizujących, i nie runęła z powrotem na ziemię. Czuł się tak, jakby cała zawartość jego czaszki przelewała się do przodu i do tyłu, jak woda w kołyszącym się garnku. Pasy wrzynały mu się w ciało, kiedy leciał do przodu, a wszystkie kanty fotela dźgały go w plecy, pomimo miękkiej wyściółki, kiedy rzucało go do tyłu. Słyszał jakieś dziwne odgłosy sapania, chrząkania, poświstywania, i wiedział, że to on sam próbuje rozpaczliwie złapać oddech. Panel sterujący rozmywał się coraz bardziej, a w końcu zniknął w czerwonej mgle, która wypełniła całą kabinę, albo raczej jego własną głowę. Jego wyczucie klawiszy stało się ślepe i niepewne. Przebiegła przez niego fala paniki. *Tracę*

przytomność, pomyślał. *Nie utrzymam statku, spadnie na dół*. Próbował krzyczeć, w gniewie i proteście przeciwko temu nagłemu końcowi, w strachu i w żalu. Przeciwdziałanie przepony wcisnęło mu krew do głowy i utrzymało ją tam przez chwilę, i mgła nieco się przerzedziła, a dzikie wirowanie wszystkich organów wewnętrznych, uspokoiło się na tylko, że udało mu się nieco wrócić do rzeczywistości, chociaż ciągle balansował na cieniutkim ostrzu.

Trzymał się zawzięcie, zmuszając się do oddychania, głęboko, powoli. Raz. Dwa. Trzy. Kontrolki wskaźników na pulpicie zamigotały uspokajająco. Szaleńcze szarpnięcia niezrównoważonego napędu, osłabły do czegoś w rodzaju regularnego rytmu przechył-i-obrót, który nie był gorszy od ruchów statku na rozkołysanym morzu. *Thetis* znalazła się w kosmosie. Teraz już nie mogła się rozbić.

Rozejrzał się po kabinie, spoglądając na Kwoleka i Garcię. Obaj mocno krwawili z nosa — stwierdził, ż zaskoczeniem, że on również — a oczy im poczerwieniały i napuchły. Zdołali jednak odpowiedzieć mu szerokimi uśmiechami.

– To cholernie kiepski sposób postępowania z dobrym statkiem – wychrypiał z trudem Kwolek. – Niech no tylko kiedyś dostanę w swoje ręce tego Taggarta…

– Jesteś drugi w kolejce – odparł Harlow. – Lepiej naprawmy w końcu tę dyszę.

Kwolek już poodpinał swoje pasy. Zataczając się, wyszedł z kabiny nawigacyjnej. Harlow przekazał stery Garcii i potoczył się za nim, kierując się w stronę swojej kwatery.

Stwierdził, że Yrra leży na jego koi, prawie nieprzytomna, a na ciele ma kilka paskudnych otarć od pasów. Porozpinał je, zamoczył w zimnej wodzie ręcznik i przetarł jej twarz, odgarniając jej z czoła grube, zwichrzone włosy. Po chwili otworzyła oczy, popatrzyła na niego do góry, i uśmiechnęła się.

– Teraz już wszystko jest w porządku – powiedział do niej. – Wszystko w porządku.

Wyszeptała:

– Brai?

– Polecimy za nim. Sprowadzimy go tu z powrotem.

– Ze świata Vornów.

Przez chwilę milczała, a jej spojrzenie wędrowało z wolna po nieznajomej kabinie. Niewielki port widokowy był otwarty. Spojrzała poza niego, po raz pierwszy w życiu widząc otwarty kosmos, gwiazdy płonące bez żadnej osłony, w pełnej chwale pośród bezmiaru wszechświata. Harlow zobaczył jak przechodzi przez nią dreszcz strachu i grozy. Jej palce zacisnęły się na jego nadgarstku, zupełnie zimne, jak lód.

– Na mojej planecie, nigdy nie obawiałam się Vornów – wyszeptała. – Wyśmiewałam się z N'Kanna i starych ludzi. Ale teraz… – Ponownie wyjrzała przez port. – Ale teraz, to ja jestem w krainie Vornów, i zaczynam się bać. – Odwróciła się nagle od niego i jak dziecko zakryła twarz rękoma. – Teraz się ich boję!

Harlow, ponad czubkiem jej głowy, popatrzył w port widokowy. Kraina Vornów. Czarne i nieruchome morze, po którym podróżowali pomiędzy wyspami gwiazd, jedynie przy pomocy siły swojej woli. Harlow wcześniej również nigdy nie obawiał się Vornów. Nie za bardzo nawet wierzył w ich istnienie. Teraz jednak, kiedy spoglądał na kosmos i pomyślał sobie o zadumanej Mgławicy Końskiego Łba i dwóch niebieskich gwiazdach, płonących w jej cieniu, poczuł jak wzdłuż kręgosłupa zaczynają mu przebiegać lodowate mrówki.

Tym szlakiem przecież wyruszył również Dundonald, i nigdy nie powrócił.

Te pełzające mrówki strachu, nie opuściły Harlowa podczas kolejnych długich dni, jakie potem nastąpiły, to znaczy arbitralnych „dni", odmierzanych w bezczasowej nocy, przez którą mknęła *Thetis*. Po zastąpieniu zniszczonej dyszy, szybko nabrali prędkości, ruszając kursem prowadzącym prosto w stronę Mgławicy Końskiego Łba. Na radarze nie było nawet śladu po *Sunfire* Taggarta. Był za daleko z przodu, aby było to możliwe. Prawdę mówiąc, to

wysforował się tak bardzo przed nich, że nie było żadnej nadziei na to, aby go dogonić, albo zapobiec jakimkolwiek działaniom, jakie mógł podjąć na planecie Vornów, do której powinien dolecieć na długo przed Harlowem. Każdy rozsądny człowiek musiał powiedzieć, że pościg jest bezsensowny, ale załoga *Thetis* nie składała się z rozsądnych ludzi. Gdyby tak było, nigdy by się nie zaciągnęli do Służby. Ponadto byli bardzo rozgniewani. Zrobiono z nich głupców, a w dodatku niemal zginęli z powodu swojej głupoty, teraz więc byli zdeterminowani do tego, aby złapać Taggarta, choćby nawet miało zająć im to resztę życia.

Co mogło wcale nie potrwać tak długo, pomyślał sobie Harlow. Ponuro spojrzał na ekran, pokazujący panoramę kosmosu, rozciągającego się przed *Thetis*. Był to jeden z najwspanialszych widoków, w całej galaktyce. Człowiek stawał przed nim oszołomiony i bez słów, i nie ważne było, jak często, albo jak długo go oglądał, jego cudowność i chwała nie przemijała. Jako podkład służyło tutaj wspaniałe ogromne płótno wszechświata, a niemal na całej jego szerokości rozpościerała się arogancka, czarna jak węgiel, rozciągająca się na obszarze wielu lat świetlnych, Mgławica Końskiego Łba, odbijająca się kontrastem na tle płonącego blasku gwiazd. Wspaniały widok, tak. Cudowny i piękny, również. Ale było jeszcze jedno słowo, które przychodziło na myśl Harlowowi, stare słowo, teraz już niezbyt często używane. To słowo brzmiało, złowrogi.

Yrra spędzała z nim w kabinie nawigacyjnej tyle czasu, ile tylko mogła, obserwując ekran, wytężając oczy, aby dostrzec choćby ślad statku, który unosił jej brata. Harlow zauważył, że Mgławica Końskiego Łba działała na nią tak samo jak na niego. Zrobiła w jej kierunku pewien gest, ukradkowy i szybki, tak jakby się go wstydziła. Przypadkowo wiedział, że był to znak Ktashan, który miał chronić przed złem.

Przez długi czas, względna pozycja malutkiego statku i wielkiej mgławicy, zdawała się nie ulegać zmianie. Stopniowo jasne obrzeże gwiazd zaczęło znikać z ekranu, a czerń rozrastała się i pochłaniała cały obszar widoku, tracąc swoje kształty, w końcu tworząc tylko jakiś nieokreślony kontur, widoczny na tle światła odległych gwiazd. Ostatecznie na jego ciemnej linii obrzeża ukazały się światła wskazujące położenie dwóch niebieskich ponurych gwiazd.

Thetis zmniejszyła prędkość, i ruszyła trasą pomiędzy wskazującymi drogę gwiazdami.

Poza nimi rozpościerała się zatoka, wcinająca się w tę niewiarygodną linię brzegową mgławicy. Dopiero teraz tak naprawdę, załogę Thetis pochwycił w swoje szpony lęk… lęk dużo większy niż ten jaki mogliby poczuć z powodu działań ludzi albo jakichś legendarnych Vornów. To było coś absolutnie fundamentalnego i pierwotnego, coś co miało to wiele wspólnego z grozą ciemności, obcości i nieludzkości, co mogło brać swe początki daleko w przeszłości, u zarania rasy.

Żaden z nich nie był nigdy wcześniej tak blisko czarnej mgławicy. Były one śmiertelnymi pułapkami, ślepymi obszarami, w których bezużyteczny był radar, gdzie statek stawał się bezradny, nie mogąc bronić się przed dryfującym międzygwiezdnym gruzem, gdzie można było wbić się na całą długość w zatopioną w nim ciemną gwiazdę, zanim w ogóle się ją zauważyło.

Teraz poruszali się z szybkością ślimaka, zmierzając w pobliże granicy Mgławicy Końskiego Łba. Zatoka była stosunkowo wąska, wiła się i zakręcała wokół wielkich wystających ramion czerni, przeskakując górą ponad pyłowymi ścianami, wznoszącymi się na miliony mil grzebieniami, płonącymi ogniem ukrytych za nimi gwiazd, przechodząc przez ciągnące się przez miliony mil szczeliny, wbijające się w postrzępione rozpadliny, przez które gwiazdy widoczne były tylko jako słabe i odległe ogniki, podobne do obserwowanych na Ziemi podczas pochmurnej nocy. Wszędzie gdzie tylko się spojrzało, w górę, w dół, przed siebie lub na boki, te niewiarygodnie ogromne obłoki zamykały statek ze wszystkich stron, otaczając go swoją wieczną czernią, tak jakby przygotowane przez jakieś bóstwo całuny łoża śmierci.

Kwolek pokręcił głową.

– Na miłość Boską – powiedział. – Jeżeli Vornowie rzeczywiście tutaj mieszkali, to nic dziwnego, że znaleźli jakiś sposób na opanowanie kosmosu. Musieli to zrobić!

Thetis pełzła z minimalną szybkością, coraz głębiej w tę ciemną rozpadlinę, i wkrótce przed nimi pojawiło się jakieś światło, blask zielonego słońca, opromieniającego otaczające je chmury ponurą, widmową poświatą.

Przesunęli się bliżej i zobaczyli planetę.

– To musi być tutaj – powiedział Garcia. – Planeta Vornów.

– Jeśli w legendach Ktashan jest jakieś ziarno prawdy – mitygował go Harlow. – W każdym razie to planeta na którą poleciał Dundonald i na której jest Taggart. Musimy być diabelnie ostrożni, podchodząc do niej…

Yrra, która siedziała nieco z tyłu kabiny nawigacyjnej, nagle wydała z siebie lekki odgłos wypuszczanego powietrza. Był to bardzo swoisty dźwięk, sugerujący strach zbyt wielki, aby tylko po prostu krzyczeć. Skóra Harlowa zrobiła się zimna, jakby pod strumieniem lodowatej wody. Zaczął odwracać głowę. Zobaczył, że Kwolek i Garcia, obydwaj zupełnie skamieniali, wpatrują się w coś, co ciągle znajduje się za nim. Potem spojrzał na Yrrę. Narosły w nim mdłości, nieuchronne uczucie, że naprzeciw niego stanęło coś całkowicie poza ludzkim doświadczeniem, przynajmniej takim jakie znał. Nadal się odwracał, powoli, dopóki sam nie ujrzał.

Nie mylił się. Z czerni Mgławicy Końskiego Łba i z ognia obcej gwiazdy, w ciszy, nie korzystając z prymitywnego skafandra, nie przechodząc przez śluzy, coś przybyło, aby przyłączyć się do nich na pokładzie statku.

Yrra wyszeptała tylko jedno słowo. Wyszeptała je tak cicho, że w normalnych warunkach mógłby go nawet nie dosłyszeć. Teraz jednak rozdźwięczało mu w uszach tonem przypominającym trąbę obwieszczającą koniec świata. Powiedziała:

– Vorn!



Rozdział 5

Tak prawdę mówiąc, to w Vornie nie było niczego potwornego, ani straszliwego, przynajmniej jeśli chodzi o sam wygląd. Nie było żadnych prymitywnych groteskowych cech, które wstrząsałyby okiem. Wisiał sobie nieruchomo w powietrzu na środku kajuty, jak obłoczek blasku, przypominający chmurę gwiazd, oglądaną z tak daleka, że poszczególne punkciki światła, stały się zaledwie nieskończenie malutkimi iskierkami. Plamki składające się na Vorna, z początku zdawały spoczywać nieruchomo, ale w miarę jak Harlow przyglądał mu się coraz dłużej, uświadomił sobie, że widać w nich pewne falowanie, fluktuację intensywności, która była tak regularna i naturalna, jak oddech. I to był ten decydujący element, który zmienił jego krew w lód. Ta istota była *żywa*. Stworzenia z mocy i płomienia, dokładnie tak jak mówiły legendy, nie ludzkie, ale żyjące, myślące, czujące i obserwujące.

Obserwował go. Ten nieludzki podróżnik między gwiazdami, obserwował go i zastanawiał się nad jego losem.

Kwolek coś podniósł. Trzymał to w odchylonej do tyłu ręce, tak jakby szykował się do rzutu, ale tylko to trzymał. Garcia po prostu siedział. Jego wargi poruszały się tak, jakby pośpiesznie modlił się po cichu. Yrra ześlizgnęła się bardzo powoli i cicho na podłogę, przyjmując pozycję pokory.

Harlow przemówił. Jakiś automatyczny odruch wprawił w ruch jego język, i słowa same napłynęły mu do ust. Słowa brzmiące tak napuszenie i śmiesznie, że sam czuł się tym zawstydzony, ale nie potrafił wymyślić niczego innego. Te słowa przychodziły mu łatwo, ponieważ pochodziły prosto z Instrukcji. Wypowiadał je już wcześniej wiele razy.

– Jesteśmy z Międzygwiezdnej Służby Badawczej. Przybywamy w pokojowej misji. Przylecieliśmy na waszą planetę…

– Daj sobie z tym spokój, Mark!

Harlow przerwał w pół słowa. Wpatrywał się w Garcię i Kwoleka. Żaden z nich nie otworzył nawet ust.

Przecież ktoś jednak to powiedział…

Kwolek zaczął gwałtownie:

– Kto to powiedział?

– Nikt nie powiedział ani słowa – wyszeptał Garcia.

– A więc to również oni. Powiedzieli: „Kwolek, odłóż ten głupi kawał żelastwa, zanim złapie cię skurcz w ręce”.

– Chyba oszalałeś – powiedział cicho Garcia, i zdawało się że wrócił do swojej modlitwy.

– Mark – powiedział znowu głos do Harlowa, – wiem, że to wszystko wydaje ci się bardzo dziwne i przerażające, ale to tylko dlatego, że nie zrozumiałeś jeszcze podstaw naukowych, które umożliwiły tę zmianę mojej postaci. Atomy mojego ciała znajdują się obecnie w innym układzie, niż wtedy, kiedy mnie ostatnio widziałeś, ale pod każdym innym względem jestem zupełnie taki sam. No dobrze, nie. Nie zupełnie. Ale stwierdzenie to jest tak bliskie prawdy, że mogę uczciwie powiedzieć, że ciągle jestem Dundonaldem.

– *Dundonald* – powiedział Harlow, gapiąc się w osłupieniu na chmurę pulsującej jasności, która unosiła się przed nim w powietrzu. Po chwili dodał miękkim tonem: – Na miłość Boską!

Kwolek i Garcia odwrócili głowy w jego stronę i patrzyli na niego. Przemówili niemal jednocześnie.

– Dundonald?

– Słyszeliście go przecież – wymamrotał Harlow.

– Oni mnie w ogóle nie słyszeli – powiedział do niego głos. – Oprzytomnij trochę, człowieku. Obudź się. Nie możesz sobie teraz pozwolić na głupie zagrania. Nie masz na to czasu. Mark, to jest telepatia. Komunikuję się bezpośrednio z tobą, ponieważ to jedyny sposób, w jaki mogę to teraz zrobić. Nie mam energii, aby komunikować się z wami wszystkimi naraz. Teraz posłuchaj. Czekałem tutaj na ciebie…

– O czym pan mówi? – spytał Harlowa Garcia. – Co chciał pan powiedzieć, mówiąc Dundonald?

– Lepiej będzie jeśli poświęcisz trochę czasu i sam im o tym powiesz – powiedział Harlow do plamy światła. – Wątpię, żeby mi uwierzyli.

Położył ręce na twarzy i przez chwilę lekko drżał w milczeniu, próbując sobie uzmysłowić, że jego poszukiwania Dundonalda zostały zakończone, że ta amorficzna chmura plamek energii, była jego przyjacielem, jego kompanem od kieliszka, pełnokrwistym człowiekiem, Dundonaldem, o krzepkich rękach, rozwichrzonych brązowawych włosach i jasnych niebieskich oczach, które zawsze szukały czegoś swojskiego, za odległymi, ukrytymi cieniami, nieznanego.

Nie był w stanie w to uwierzyć.

– To nie ma znaczenia – powiedział myślowy głos Dundonalda w jego głowie. – Po prostu zaakceptuj to na razie. Istotne jest natomiast, że Taggart przygotował się na twoje przybycie. Jego statek wyposażony jest w ciężkie uzbrojenie. Kazał je zamontować i w chwili kiedy tylko złapie twój statek na ekranie swojego radaru, zaczną latać pociski. Wtedy będziesz martwy, a ja nigdy już nie powrócę, a więc prosiłbym cię łaskawie o to, abyś zwrócił uwagę na to, co mam do powiedzenia.

– Nigdy nie wrócisz? – powtórzył Harlow. – A gdzie miałbyś wrócić?

– Do mojego starego ja. Do cielesności. Taggart ma Konwerter. Pilnuje go w dzień i w nocy, tak więc jeśli tylko się przy nim pokażę, zostanę zabity w mgnieniu oka. Przypuszczam, że podobnie stałoby się z każdym z Vornów, chociaż żadnego z nich nie ma tu już od wieków.

– Zaczekaj – powiedział Harlow. – Po prostu zaczekaj chwileczkę. Próbuję to wszystko zrozumieć, ale trochę się zgubiłem. Konwerter?

– No oczywiście, że konwerter. A jak sobie wyobrażasz, w jaki sposób staliśmy się… stałem się… taki jak teraz?

– Nie wiem – otępiałym głosem odparł Harlow. – A co to znaczy „taki jak teraz”?

– Dokładnie to co widzisz – stwierdził Dundonald. Plama jasności skupiła się, zawirowała, a następnie przesunęła tak szybko, że Harlow myślał już, że znikła. – Zamiana materii w energię. Tylko starożytnym Vornom udało się rozwiązać problem realizacji tej konwersji, bez utraty zarówno inteligencji czy osobowości. Istota człowieka pozostaje bez zmian. Jedynie jego forma wyzwala się z ograniczających go kajdan fizycznego ciała.

Obłok jasności przesunął się w stronę żelaznej grodzi. Prześlizgnął się prosto poprzez lity metal, a potem wrócił i zatańczył w powietrzu.

– Koniec ze wszystkimi barierami. Koniec ze śmiercią. Nic dziwnego, że Vornowie stracili zainteresowanie swoim starym, uwiązanym do planety życiem. Mówię ci, Mark, nawet przy moim krótkim stażu, jako jeden z nich, wiedziałem i robiłem takie rzeczy… Czy ty masz pojęcie, jak to jest latać sobie swobodnie jak ptak pomiędzy gwiazdami, pokonując całe lata świetlne w jednym mgnieniu oka, nie obawiając się zupełnie niczego? A mówimy

nie tylko o gwiazdach, Mark, ale również o inne galaktykach. Czas i odległość stają się jedynie słowami, bez żadnego znaczenia. Największa tajemnica jaką kiedykolwiek odkryto. Nic tak prymitywnego i topornego, jak transmiter materii, który mógłby jedynie wysłać cię jak paczkę, od nadajnika do odbiornika, podczas gdy w rzeczywistości pozostałbyś tak samo uwiązany do planet, jak byłeś wcześniej. Nie, Vornowie stworzyli mechanizm, który dał im prawdziwą wolność życia we wszechświecie.

Jasność tańczyła i wirowała, a Kwolek, Garcia i Yrra wpatrywali się w nią z nieskrywanym lękiem. Myśli stworzenia ciągle zalewały umysł Harlowa, i nie wydawało mu się, by był w stanie dłużej to wytrzymać. Łatwo było sobie rozmawiać o odrzuceniu okowów cielesności i założeniu na siebie ciała z czystej energii, ale jak dla jego mózgu była to sprawa zdecydowanie zbyt duża, i jak na razie nie był jej w stanie tak do końca uchwycić. Powiedział więc:

– Dundonald.

– Tak?

– Nazywam się Mark Harlow, pamiętasz?

– Jestem tylko zwykłym facetem z Ziemi. Zwaliłeś to wszystko na mnie za jednym zamachem, i oczekujesz żebym to… – Przerwał, ale po chwili zacisnął ręce i zmusił się do tego by kontynuować. Powiedział:

– Słuchaj. Ja mówię do plamy światła. A w mojej głowie pojawiają się myśli, w których ta plama opowiada mi, że jest Dundonaldem, człowiekiem którego znałem. To raczej trudne do zaakceptowania. Chyba zdajesz sobie z tego sprawę.

W odpowiedzi myślowej Dundonalda, zabrzmiał cień litości.

– Tak Mark. Przypuszczam, że tak.

– W porządku. – Harlow poczuł na czole strumyczek potu, ale spojrzał na jasną mgiełkę, i oznajmił: – A więc przekaz mi to jakoś wolniej, dobrze?

– Dobrze, Mark, przekażę ci to trochę wolniej. Ale nie *za wolno*, proszę, ponieważ czas płynie nieubłaganie.

Harlow spytał:

– Znalazłeś planetę Vornów na podstawie legend, które opowiedział ci Brai?

– Tak.

– Znalazłeś na niej Vornów?

– Nie. Nie, Mark… Vornowie odeszli z tej planety dawno, dawno temu. Kiedy tylko znaleźli sposób na to, by się odmienić i stać się… takimi jak ja. Znalazłem ich wymarłe miasta, i znalazłem Konwerter. Ale nie ich samych.

– Konwerter, który cię przekształcił… w taki sposób. Co cię napadło, żeby to zrobić, Dundonald?

Otrzymana w odpowiedzi myśl była silna i zdecydowana.

– Musiałem to zrobić. Musiałem wypróbować to urządzenie, po tym jak poznałem jego tajemnicę. Przeszedłem ten proces. Przez cały czas potem, pozostawałem w takiej postaci jak teraz… jak Vornowie… kiedy nadleciał statek Taggarta.

– Acha – powiedział Harlow. – I co wtedy…?

– Moi ludzi, statek, czekali na mnie – odparł Dundonald. – Taggart wziął ich z zaskoczenia, łatwo. Trzech moich ludzi zostało zabitych w walce. Pozostałych trzyma pod kluczem.

Harlowa zalała fala gniewu. Niemal zapomniał, że nie rozmawia z Dundonaldem w cielesnej postaci. Wycedził przez zęby.

– Ten nasz kochany Taggart. W podstępach i zasadzkach jest naprawdę dobry.

– Dowiedział się – opowiadał dalej Dundonald, – że jestem… po drugiej stronie. Postawił więc na straży Konwertera uzbrojonych ludzi. Jeśli tylko spróbuję przez niego wrócić, będzie mnie miał.

– Ale co on tam robi… tak sobie tylko siedzi i czeka? – dopytywał się Harlow.

– Czeka, Harlow. Wysłał wiadomość przez komunikator, do kogoś kto nazywa się Frayne. Frayne, jak zrozumiałem, dowodzi kolejnym statkiem, jaki Kartel potajemnie wysłał, w celu odszukania mnie i Vornów. Taggart powiadomił go, aby przybył na planetę Vornów i pomógł mu stąd zabrać Konwerter.

Przerażający obraz sytuacji, zaczął w wyraźny sposób docierać do Harlowa. Jeżeli statki Kartelu wywiozą stąd Konwerter, ostateczna swoboda poruszania się po wszechświecie, dostanie się w łapy grupy zachłannych ludzi, którzy będą wykorzystywać wszystkie odkrycia dla swojej własnej potęgi i zysków.

– O, nie – powiedział Harlow. – Musimy go zatrzymać. – Czy damy dolecieć do tej planety, przed tym drugim statkiem… statkiem Frayne'a?

– Nie wiem – odparł Dundonald. – Frayne może być już niedaleko stąd, ale mógł też być w ogóle poza zasięgiem komunikatora. Dlatego właśnie musimy się pospieszyć i dotrzeć tam jako pierwsi. W dodatku nie możesz lądować dokładnie w tym samym miejscu gdzie Taggart, ponieważ zauważy wasze pojawienie na radarze i jego rakiety dopadną was, zanim nawet zdążycie się zbliżyć. Jedynym sposobem, w jaki możesz się do niego dostać, to przez *to*.

I plama jasności zmieniła się w okrągłą kulę, a następnie przysunęła się do ekranu wizyjnego, dotykając czarnego, sterczącego na zewnątrz wybrzuszenia, w wyłaniającej się w pobliżu ścianie mgławicy.

– Mogę was przez nią poprowadzić, Harlow. Ale będziecie musieli zejść na dół i wylądować poza krzywizną planety, a resztę drogi do Lurluun — to jest stare miasto Vornów, w którym znajduje się Konwerter — pokonać pieszo. Potem…

– Potem – powiedział Harlow, – uderzymy na Taggarta wszystkim co mamy.

– To „wszystko", to niezbyt dużo – stwierdził Dundonald, – jeżeli macie tylko te pukawki, na jakie zezwala Paragraf Szósty. No cóż, będą musiały wystarczyć. Musicie teraz zmienić swój kurs, i to szybko.

Harlow ruszając aby wydać rozkazy, kątem oka dostrzegł zdenerwowaną twarz Yrry, ze strachem spoglądającej na unoszącą się chmurkę jasności. Powiedział:

– Jeszcze coś, Dundonald. Brai jest bratem tej dziewczyny. Przyleciała tu, żeby go odnaleźć. Czy on nadal żyje?

– Siedzi razem z innymi więźniami Taggarta… z moimi ludźmi – dobiegła go odpowiedź myślowa. – Możesz się chyba domyślić, jak długo oni wszyscy pożyją, jeśli Taggartowi się uda.

Harlow krótko przekazał Yrrze wieści, w jej własnym języku, i zobaczył jak w jej oczach pojawiają się łzy.

– Na miłość Boską, pośpiesz się – szturchnęła go myśl Dundonalda.

Z naprawdę bardzo dziwnym uczuciem, jak człowiek śniący na jawie, pijany, albo w ogromnym szoku, Harlow obrócił *Thetis* wokół ogona, i ruszył naprzód, nurkując w kierunku czarnej ściany pyłu.

Wprowadził w sprawę Kwoleka i Garcię, na tyle, na ile dało się to zrobić w kilku słowach, a następnie polecił Garcii poinformować przez interkom załogę. Próbował nie patrzeć na rozciągające się przed nimi pyłowe ściany. Miały one miliony mil w każdą stronę, a wyglądały równie solidnie jak bazalt. Zielony blask dalekiej gwiazdy, ozdabiał ich krawędzie jadowitą poświatą.

– Tylko spokojnie – powiedział Dundonald. – One jedynie tak wyglądają. Przelatywałem przez nie kilkanaście razy.

– To fajnie – kwaśno stwierdził Harlow, – ale my ciągle jesteśmy związani z naszymi starymi dobrymi cielesnymi powłokami, i nie jesteśmy tacy odporni na latające kawałki skał.

– Przeprowadzę was przez nie, Harlow. Nie przejmuj się.

Harlow jednak się przejmował.

Ściana była czarna jak smoła i coraz bliżej przed nimi. Kiedy w nią uderzyli, Harlow instynktownym ruchem uniósł rękę przed twarz i lekko się cofnął. Nie było żadnego wstrząsu. Jedynie wszędzie dokoła nagle zrobiło się zupełnie ciemno, tak ciemno jak w piekle, i na pokładzie zaczęły krążyć najbardziej szalone plotki. *Thetis* była ślepa i głucha, mknąc na złamanie karku przez pył międzygwiezdny.

Kwolek wymamrotał pod nosem.

– To szaleństwo. Wyobraziliśmy sobie, że coś tam widzieliśmy i słyszeliśmy…

– Zamknij się – wyszeptał Harlow. – Nie słyszę…

Rozejrzał się po kabinie. Panika uderzyła go jak młotem. Plama jasności znikła. Dundonald zniknął. Dundonald? A skąd niby miał wiedzieć, że to był Dundonald, a nie jakiś podstępny obcy, jeden ze starożytnych Vornów, wysłany tutaj, żeby ich zniszczyć? Przez całe stulecia mogą teraz wędrować w tej kosmicznej nocy, aż w końcu zabraknie im zapasów i umrą, a statek ciągle będzie razem z nimi wędrować przez wieczność…

– Podnieś nieco dziób – ostro dobiegła go myśl Dundonalda. – Co najmniej trzy stopnie. Mark, do diabła, co się z tobą dzieje! Ciągnij w górę! Natychmiast! Teraz, dziesięć stopni na sterburtę… zapomnij o stopniach. Skręcaj dopóki nie powiem ci żebyś przestał. Dobrze. Teraz trzymaj ster równo… przed wami jest trochę tego świństwa, ale przejdziemy pod nim. Równo…

Harlow zrobił wszystko, co mu powiedziano i wkrótce zobaczył to, czego nie widział wcześniej — mgiełkę jasności, która była tą nową istotą Dundonalda, rozciągniętą do granic możliwości i wyciągającą się poza zasięg widoczności, przez poszycie statku. Harlow znalazł chwilkę czasu, aby poczuć wstyd.

Całkowita ciemność trwała i trwała, chociaż nie do końca przez wieczność. Nie było żadnej rzednącej mgiełki, żadnego coraz czystszego miejsca. Albo może przeszli przez jakiś obszar brzegowy, ale go nie zauważyli. W jednej chwili ekrany były puste i czarne, a w następnej boleśnie uderzyło ich w oczy zielone światło słoneczne, i znaleźli się poza chmurą, z powrotem olbrzymiej, otoczonej czarnymi ścianami, zatoce Vornów. Okrężna trasa przez ciemności, wyprowadziła ich jednak na drugą stronę zielonej gwiazdy i jej planety.

Dotarła do niego pośpieszna myśl Dundonalda.

– Taggart oczekuje, że przylecicie ścigając go prosto przez zatokę, drogą którą i on tu przybył. Wysłał więc swój statek, żeby krążył przed planetą, i wychwycił na radarze wasze zbliżanie.

– A więc pomiędzy nami i jego statkiem znajduje się planeta, maskująca nasze ruchy – powiedział Harlow. – Jeśli utrzymamy ją między nami, będziemy mogli wylądować w tajemnicy.

– No właśnie, Harlow. Ale musicie się pośpieszyć! Poprowadzę was.

Dziwny pilot, podczas najdziwniejszego lądowania, jakie kiedykolwiek wykonywał człowiek, pomyślał sobie Harlow. *Nie myśl teraz o tym. Nie myśl o tym, czym stał się Dundonald, rozegraj to na takich warunkach, jakie są, skup się na locie*.

Zaczął schodzić do lądowania. Thetis uderzyła w atmosferę, i zanurzyła się w nią, jak w zieloną studnię.

– Próbuję wylądować tak blisko Lurluun, jak to jest możliwe – powiedział Dundonald. – Ale planeta się obraca, a Lurluun przesuwa się w stronę czekającego w kosmosie statku przechwytującego, a wy musicie trzymać się poza krzywizną planety, która skrywa wasz lot.

Statek zanurkował w dół i wkrótce rozwinęły się pod nim dziwacznie ubarwione lasy, olbrzymie pustynie zielonkawego piasku, góry z czarnych skał, poznaczonych zieloną patyną, jak stara miedź. Dziwne, nieziemskie krajobrazy skąpane w blasku szmaragdowego słońca, które właśnie zachodziło, ponieważ ta część planety odwracała się od niego.

Przed nimi wyrósł niski, czarny grzbiet górski i Dundonald skierował ich w jego kierunku. Thetis schodziła coraz niżej, po długiej, płaskiej krzywej otoczona skrzeczącym rykiem rozcinanej atmosfery. Harlow, w napięciu trzymający ręce na sterach, pomyślał że chyba widzi uciekające pod nimi porozrzucane miasta.

– Wszystkie są wymarłe – nadeszła w odpowiedzi myśl Dundonalda. – Coraz więcej Vornów wybierało wędrówkę między gwiazdami, a coraz to mniej z nich powracało do domu, aż w końcu cała ta rasa stopniowo wymarła. Teraz nie wiadomo czy został jeszcze chociaż jeden Vorn, nawet biorąc pod uwagę całą tę część galaktyki. Przemieszczali się coraz dalej i dalej.

Chwilę później ostrzegł go:

– Ląduj! Po tej stronie gór!

Wylądowali na pustyni, w miejscu gdzie rzeka wycięła w piaskach oraz warstwach wielokolorowej skały, głęboki, fantastyczny wąwóz. Brązowawa woda płynęła w stronę skalistego grzbietu górskiego, i dalej przez wyżłobiony w nim kanion.

Dundonald oznajmił:

– Nie trać czasu na testy atmosfery, powietrze nadaje się do oddychania. Przeżyłem tutaj kilka miesięcy, a Vornowie żyli tutaj przez tysiąclecia. Oni byli ludźmi, takimi samymi jak my.

Harlow podszedł do interkomu i wydał rozkaz.

– Otworzyć włazy. Wszyscy na zewnątrz.

Kiedy cała załoga zeszła ze statku, okazało się że powietrze jest suche, ciepłe i ma lekki metaliczny zapach. Wokół nich rozpościerała się zielona pustynia, a z czystego nieba uderzało jaskrawe światło zielonkawego słońca, zabarwiające jadowitymi kolorami wyłaniające się w pobliżu czarne skały pasma górskiego. Panowała niemal zupełna cisza, lekko rozpraszana szemraniem płynącej w wąwozie rzeki.

Ludzie w otępieniu spoglądali po sobie, wpatrując się też w Harlowa. A potem, kiedy błysnęła między nimi mała tańcząca gwiazdka jasności, która zawisła obok Harlowa, twarde twarze Ziemian, zmieniły się. Harlow próbował to im wyjaśniać, ale bez specjalnego efektu. Wszyscy wiedzieli, że ta tańcząca gwiazdka podobno była kiedyś człowiekiem, i ten pomysł zupełnie im się nie podobał, bali się i było to po nich wyraźnie widać. Wszyscy obecni, włączając w to również Kwoleka, Garcię i Yrrę, nieustannie spoglądali na latające światełko, które miało być Dundonaldem.

– Nie mów do mnie na głos, są coraz bardziej wystraszeni – dobiegła do niego myśl Dundonalda. – Pomyśl tylko coś intensywnie, a ja to przechwycę.

– W którą stronę do Lurluun? – pomyślał Harlow.

– W tą, w którą płynie rzeka. Ale, Harlow, nie możecie pójść wzdłuż rzeki, wąwóz jest za głęboki. Będziecie musieli przejść przez góry.

– Ilu ludzi ma tam Taggart?

– Czternastu – odpowiedział Dundonald. – Wszyscy silnie uzbrojeni. Dodatkowych ośmiu ma w kosmosie, na statku.

Harlow powiedział głośno do Kwoleka:

– Pobrać broń.

Wszystkim wręczono regulaminowe małe paralizatory, czysto defensywną broń, której można było używać jedynie w przypadku bezpośredniego zagrożenia życia funkcjonariuszy. Ich zasięg efektywny wynosił nie więcej niż kilka stóp i nie mogły strzelać ładunkiem o zabójczej mocy. Międzygwiezdna Służba Badawcza, była bardzo wrażliwa na punkcie uczuć tubylców. Lekki ciężar broni w ręku, nie dodał Harlowowi specjalnej pewności siebie.

Powiedział na głos do swoich ludzi:

– Wiecie dobrze, co Taggart zrobił nam, tam na ML-441. Teraz mamy szansę, aby mu za to odpłacić. Jest tutaj, za tymi górami. Przejdziemy przez nie i uderzymy na jego ludzi.

– Pójdziemy wszyscy, sir? – zapytał Garcia. – Nie chce pan zostawić na *Thetis* żadnej straży?

Harlow pokręcił przecząco głową.

– Jeżeli nie pokonamy tej bandy, nie będziemy mieli po co wracać na *Thetis*. Jest nas co prawda dwudziestu, a ich czternastu, ale oni mają broń, przy której nasza wygląda jak pistolety na wodę.

Twarz Yrry zapłonęła zapałem, w przygasającym zielonym świetle.

– A więc ja też pójdę z wami.

Harlow popatrzył na nią z niepewnością.

– Zdaje się, że musisz. Trzymaj się blisko mnie i słuchaj rozkazów.

Odwrócił się w stronę wiszącej obok niego w powietrzu plamy światła, która teraz kiedy zielone słońce zachodziło i jego promieniowanie osłabło, lśniła wyraźnie jaśniej. Pomyślał:

– Dundonald, czy możesz ruszyć przodem i zobaczyć, w których miejscach w mieście Taggart wystawił warty? Muszę to wiedzieć dokładnie, zanim do niego wejdziemy.

– Tak, mogę to zrobić.

Ludzie z Thetis cofnęli się odruchowo krok w tył, kiedy jasność zawirowała wokół nich, zakręciła się, a potem wystrzeliła gdzieś daleko, w gęstniejący zmierzch. Święcąca iskierka, latająca gwiazdka, niewiarygodny błysk woli, pomknął w kierunku wyniosłego czarnego grzbietu górskiego i zniknął.

Harlow lekko podniósł głos.

– Wyruszamy natychmiast. Zabrać rzeczy i idziemy.

Wyruszyli przez piach, w zwartej kolumnie, trzymając się w pobliżu wąwozu którym płynęła rzeka. Kiedy ostatnie promienie zielonej gwiazdy, oświetliły wyrastający przed nimi skalny wał, Harlow zmierzył go wzrokiem pełnym wątpliwości. Wydawało mu się, że widział jakąś drogę, która można było przejść przez góry, ale nie był tego jeszcze pewien.

Wtedy zauważył, że idą po starożytnej drodze, która została tak bardzo zasypana piachem, że łatwo mogliby z niej zbłądzić, gdyby wzdłuż niej nie stały kamienne znaczniki. Obok drogi od czasu do czasu, wyrastały jakieś niskie, chaotyczne bezładne budowle, wyglądające na porozrzucane wille. Wiatr nagromadził wokół nich wielkie zwały piasku. Jedynymi dźwiękami jakie było słychać w ciemniejącym zmroku, były tylko odgłosy rzeki i wiatru. W tych willach nikt już nie mieszkał, od tysięcy lat.

Maszerująca obok niego Yrra, zadrżała.

– To jest złe – powiedziała. – Ludzie powinni żyć jak ludzie. Przypuśćmy, że wszyscy staną się tacy jak Vornowie. Wtedy wszystkie planety, w całej galaktyce, będą wyglądały tak jak ta.

To była przerażająca myśl. Umysł Harlowa przeskoczył, w wyobraźni, naprzód, do czasów w przyszłości, kiedy rasa ludzka mogłaby zniknąć zupełnie, i pozostałyby jedynie stworzenia takie jak Dundonald, nieśmiertelne, bezdzietne, niczego nie budujące, niczego nie tworzące, istniejące tylko z powodu zainteresowania czystą wiedzą, przepiękne skrawki mocy i płomienia, przez wieczność wędrujące po otchłaniach kosmosu, wszechświatów, bez końca.

Czy to był ostateczny cel każdej rasy, która wyruszyła w kosmos, ostatni szczebel jej ewolucji? Czy pierwsze satelity i rakiety sprzed dziesiątków lat, były jedynie wstępnymi stopniami ewolucji, która miała pochłonąć ludzkość i stworzyć coś więcej niż człowieka, ale jednocześnie także coś mniej niż człowieka?

Zmusił się do tego, by wyrzucić z głowy te pełne grozy myśli. Zbliżali się już do gór, i zobaczył że starożytna droga wspina się na ich zbocza, we względnie łagodny sposób.

– Tędy! – zawołał.

Ciemności stawały się nieprzeniknione. Na niebie nie było żadnych gwiazd, niczego poza czernią olbrzymiej mgławicy Końskiego Łba, którą planeta ta była otoczona. Małe światełko jego kieszonkowej latarki, tonęło zupełnie w ciemnej nocy.

W miarę jednak jak wspinali się coraz wyżej, Harlowowi zdawało się, że zobaczył równo pulsujące światło, docierające z drugiej strony pasma górskiego. Z czasem zaczęło się coraz mocniej odbijać na niebie. Doszli do wierzchołka grzbietu.

Stanęli tam razem i wpatrywali się, wszyscy z oszołomionymi twarzami, dziwacznie oświetlonymi przez światło, które teraz uderzało bezpośrednio na nich.

– Co to jest? – wyszeptała Yrra.

Kilka mil od nich, po drugiej stronie pasma górskiego, w niebo strzelała wielka kolumna opalizującego światła. Najbardziej intensywna jasność biła u jej podstawy, stopniowo przygasając ku górze. Niesamowicie kotłowała się i dygotała, ale utrzymywała się stabilnie, zalewając wszystko dokoła niesamowitą poświatą.

W tej poświacie Harlow dojrzał, że ten opalizujący filar wznosił się z samego centrum miasta. W widmowej poświacie migotały ciemne dachy, ściany, wieże, a przejścia między nimi wypełniały cienie. W tym milczącym miejscu nie było widać żadnego innego światła, ani ruchu.

– To miasto Vornów – powiedział. – Lurluun. Jest wymarłe, dobrze.

– Ale to światło?

– Nie wiem. Wydaje… – W tym momencie Harlow przerwał, ponieważ zobaczył nadlatującą świecącą gwiazdkę, która w szybkim tempie zbliżała się w ich stronę. – Może Dundonald nam powie.

Dundonald miał im coś do powiedzenia, ale nie chodziło o to. Z unoszącej się w powietrzu świecącej gwiazdki, w szaleńczym pośpiechu spłynęły na Harlowa jego myśli.

– Harlow, może być już za późno. Właśnie odebrali wiadomość od Frayne’a. Statek Frayne’a wszedł już w Końskiego Łba i w tej chwili zbliża się tej planety!

Rozdział 6

Nagła groźba nadciągającej całkowitej klęski, wywołała u Harlowa zdumiewająco odrętwiający efekt. Pokonał długą drogę, wszyscy ją pokonali, i byli już bardzo zmęczeni, a teraz wyglądało na to, że przybyli za późno, i wszystko co zrobili było na darmo. A poza tym, co on w ogóle robił tutaj, tak daleko od Ziemi, stojąc pośród nocy na obcej planecie, i spoglądając z góry na wymarłe, ciemne miasto, z którego strzelał w chwale jaśniejący filar, podczas kiedy latający ognik, który kiedyś był człowiekiem, szeptał w jego umyśle?

Wtedy jednak chwilowy zalew rozpaczy Harlowa, został wymieciony z jego umysłu, przez dobroczynną falę, potężnej wściekłości. Gniew, który go opanował, nie miał nic wspólnego z samą misją i był bez związku z jej olbrzymim znaczeniem. To był zwykły gniew człowieka, który został pokonany, przechytrzony, poniżony, przez kogoś mądrzejszego niż on sam. Nie mógł pozwolić na to, aby Taggart uniknął za to wszystko kary.

– A więc musimy uderzyć na Harlowa zanim wyląduje statek Frayne'a – powiedział.

Powiedział to na głos, a więc Kwolek i pozostali mogli również usłyszeć jego słowa, razem z Dundonaldem. Zaczął wypytywać Dundonalda.

– Gdzie jest Taggart i jego wartownicy?

– Czy widzisz ten filar światła, Harlow?

– Tak, widzę go. Co to w ogóle jest?

– To jest wiązka robocza Konwertera. Jest wieczna, działa bez przerwy. Wypływa z mechanizmu samego Konwertera. Wchodzi się do podstawy wiązki i jej energia zalewa atomy ciała, przede wszystkim elektrony, i zmienia ich budowę w taki sposób, że staje się ono takie jak moje… jak Vornów. Ale jeśli jako Vorn wejdzie się do wyższej części wiązki, uruchamia to proces odwrotny, i wiązka ściąga na dół przebudowując elektrony ciała do stanu materialnego i przekształcając z powrotem w zwykłego człowieka.

– Później możesz mi opowiedzieć o tym jak działa to urządzenie. Teraz natomiast chciałbym dowiedzieć się czegoś na temat tych strażników! – naciskał go Harlow.

– Próbuję właśnie ci to powiedzieć – pomyślał Dundonald. – Na samej górze podstawy, na obrzeżu Konwertera jest dwóch strażników z karabinami automatycznymi — na wypadek gdym spróbował się tam pojawić. Mogą oni również pokryć ogniem każdy centymetr wielkiego placu, na którym stoi Konwerter. Taggart i jego ludzie mają bazę w dużym budynku po południowej stronie placu. Trzymają w niej komunikator i wszystkich więźniów — moich ludzi i Brai. Zamknęli ich w jednym z pozbawionych okien pomieszczeń w budynku.

– Taggart nie śpi?

– Nie. Rozmawiał przez komunikator ze swoim statkiem czekającym w kosmosie. Kazał im, żeby ostrzelali twój statek rakietami, zaraz jak tylko tam się pokaże, ale żeby nie pomylili go ze statkiem Frayne'a.

Harlow próbował wymyślić coś na szybko. To była robota dla żołnierza, a on nie był żołnierzem. W Międzygwiezdnej Służbie Badawczej nie uczono strategii. Nie było też czasu na opracowanie jakichś złożonych planów. Powiedział więc:

– No dobrze. Musimy wobec tego obezwładnić tych dwóch wartowników na zewnątrz, zanim uderzymy na Taggarta. Zobaczymy jeszcze jak wygląda sytuacja. Ruszajmy w drogę.

Wymaszerowali pośpiesznie naprzód, schodząc opadającą łagodnie drogą, w kierunku ciemnego miasta, przycupniętego u podnóża pasma gór. Opalizujące promieniowanie wielkiej kolumny jasności, którą mieli przed sobą, służyło im jako drogowskaz i źródło światła.

Ich szybko poruszające się nogi przekopywały zwały piasku i pyłu, naniesionego w ciągu tysięcy lat, wywołując echa szepczące w bezgwiezdnej nocy. Echa stały się głośniejsze, kiedy zeszli już na jedną z szerokich ulic, prowadzących pomiędzy czarnymi niskimi budynkami, prosto w stronę pionowej kolumny.

Szybko i daleko wyruszyli Ziemianie ze swojej małej planety, pomyślał sobie Harlow. Nawet jego własny dziadek był już dorosłym mężczyzną, kiedy z Ziemi wystrzelony został pierwszy sztuczny satelita. Tocząca się błyskawicznie śnieżna kula postępu technologicznego, przynosiła jeden przełom za drugim, i teraz grupa Ziemian wędrowała pośpiesznie przez noc na planecie innej gwiazdy, zmierzając w kierunku czegoś, co mogło przynieść największy przełom wszechczasów.

Kiedy Harlow popatrzył na jaśniejącą gwiazdkę mocy, unoszącą się obok niego, na czarne, milczące budynki, przebiegł go głęboki dreszcz. Ludzie kiedyś żyli tutaj jak ludzie. Teraz wszyscy odeszli, rozproszyli się jako promienni Vornowie, daleko po różnych galaktykach. Czy ten przełom przyniósł dobro? Pomyślał o tym co taki sekret mógłby oznaczać w rękach ambitnych ludzi, ponownie spojrzał na unoszącą się koło niego, tańczącą gwiazdkę, i przyśpieszył kroku.

Doszli do miejsca, w którym ulica kończyła się na placu. Trzymali się blisko ściany budynku, i Harlow machnięciem ręki polecił swoim ludziom, aby pozostali tam, ukryci w cieniu. On, Kwolek i Garcia, z rozsiewającym blask Dundonaldem, posuwali się ostrożnie do przodu, dopóki nie mogli wyjrzeć na otwartą przestrzeń.

Plac, park, świątynia… jak należało nazwać to miejsce? Harlow zastanawiał się nad tym. Niezależnie od tego jakby ją nie nazwać, ta gładko wyłożona przestrzeń, była olbrzymia. Taka olbrzymia, że stojący w oddali od otaczającego ją okrągłego obrzeża krążownik międzygwiezdny, pomimo całej swojej wielkości, wyglądał na malutki.

– To mój *Starquest* – wymamrotała myśl Dundonalda.

Harlow poświęcił mu jedynie przelotne spojrzenie. Jego wzrok pobiegł w stronę rzeczy, która całkowicie zdominowała plac, miasto, a nawet całą planetę.

Konwerter. Ostateczny tryumf obcej nauki, maszyna która zmieniała ludzi w… Vornów.

Nie wyglądało to wcale na maszynę. W samym środku wielkiego wyłożonego płytami obszaru, wyrastał masywny, spłaszczony od góry, betonowy piedestał. Niezależnie od tego jakie urządzenia się tam znajdowały, z jakiego wieczystego źródła energii korzystały, nuklearnej czy też innej natury, wszystko to ukryte było w jego wnętrzu. Po każdej stronie na wierzchołek ogromnej budowli prowadził pas schodów.

Ze środka tego płaskiego zwieńczenia, strzelała w górę, w ciemności nocy, opalizująca wiązka promieni. Wiązka raptownie ucinała się u swojej podstawy, zalewając wszystko rażącym oczy, wręcz oszałamiającym światłem, rzucającym rozmigotaną, roztrzęsioną promienną poświatę, zalewającą wszystko dookoła na placu. Wyżej, wiązka niepostrzeżenie słabła pod względem intensywności, by w końcu wysoko w ciemnościach nocy, osłabnąć do nieznacznego lśnienia. Konwerter. Ostateczny krok do podróży kosmicznych, brama do swobody w kosmosie.

– Strażnicy… spójrz! – zadźwięczała ponaglająco myśl Dundonalda.

Z wysiłkiem Harlow wyrwał swój umysł ze stanu hipnotycznej fascynacji wiązką Konwertera. Teraz dojrzał wyraźnie dwóch ludzi.

Stali na jakimś pozbawionym barierki występie, czy balkonie, który otaczał wiązkę, a same promienie wystrzelały spomiędzy nich. Stali odwróceni plecami do wiązki, tak jakby

nie mogli przez dłuższy czas wytrzymać bijącej od niej jasności, ale co kilka chwil czujnie spoglądali w górę i wokół siebie. Obaj mieli w ręku ciężkie, staromodne karabiny automatyczne, przygotowane do natychmiastowego użycia.

– Pilnują wszystkiego na wypadek, gdybym próbował tu wrócić i przejść z powrotem przez wiązkę – pomyślał Dundonald. – Tam na górze przez cały czas jest dwóch strażników. W ten sposób mogą widzieć cały plac.

– A gdzie są Taggart i reszta? – wyszeptał Harlow.

– Spójrz tam… tam w oddali po twojej lewej stronie, nie daleko od *Starquesta*. Ten kwadratowy budynek z kopulastym dachem.

Harlow zobaczył go. Nie trudno było go zidentyfikować, ponieważ tylko w jego oknach widać było światło, a wszystkie pozostałe budowle były ciemne.

Wycofał się nieco, do miejsca w którym Kwolek wpatrywał się przed siebie, szerokimi, zdumionymi oczyma.

– Weźmiesz wszystkich ludzi poza mną i Garcią – powiedział do niego. – Obejdźcie plac dookoła i podejdźcie do tego budynku od tyłu. Czekajcie w pobliżu frontowych drzwi, dopóki ja i Garcia nie dostaniemy tych dwóch strażników, tam w górze, na Konwerterze. Wtedy, jak tylko Taggart i reszta wyjdą na zewnątrz, szybko na nich skoczycie.

– Okej – odparł Kwolek, ale Yrra przecisnęła się do przodu i natychmiast zaczęła nerwowo wypytywać Harlowa.

– A co z Brai?

– Jeśli pokonamy Taggarta i jego bandę, bez trudu uwolnimy wszystkich więźniów – wyjaśnił jej Harlow. – Ale najpierw musimy to zrobić. – Dodał jeszcze: – Zostaniesz tutaj gdzie jesteśmy, Yrra. Żadnych dyskusji! No dobrze, Kwolek, weź ich i idźcie już.

Kwolek wykonał rozkaz. Kiedy wycofywali się ulicą i stopniowo znikali pośród budynków, tworzyli groźnie wyglądający mały oddział ciemnych postaci. Harlow jednak nie mógł przestać myśleć o ich małych paralizatorach o krótkim zasięgu, a z drugiej strony o może przestarzałych, ale śmiertelnie niebezpiecznych karabinach ludzi Taggarta, i czuł bardzo poważny niepokój.

On i Garcia zostali na miejscu, z unoszącym się koło nich Dundonaldem i stojącą nieco z tyłu Yrrą. Na jej twarzy malował się zarówno wyraz strachu, jak i buntu.

– Posłuchaj, Harlow – dobiegła go pośpieszna myśl Dundonalda. – Jeśli razem z Garcią tak sobie po prostu wyjdziecie na plac, to zostaniecie natychmiast zauważeni i zastrzeleni. Pozwól mi najpierw odciągnąć trochę uwagę tej dwójki.

– Ty? A jak chcesz to zrobić?

– Zobaczysz. Zaczekaj aż odwrócą się do was plecami.

Po przesłaniu tek myśli, Dundonald nagle wystrzelił spomiędzy nich. Jak malutki świecący meteor pomknął przez plac, i coraz wyżej, w stronę górnego krańca wielkiej wiązki.

Harlow z Garcią przyglądali się temu w napięciu, obserwując jak dwóch strażników na górze, na obramowaniu Konwertera nagle zaczęło wskazywać w górę rękoma i wołać coś do siebie nawzajem. Patrzyli do góry, na niesamowicie świecącą gwiazdkę, na Dundonalda, który latał wysoko nad nimi wokół wiązki. Błyskawicznie przygotowali trzymaną w ręku broń do użytku i stanęli twarzą do promieni.

– Myślą, że Dundonald ma zamiar przejść przez wiązkę… przygotowali się do zastrzelenia go, zaraz kiedy to zrobi! – wymamrotał Harlow. – Mamy teraz szansę… ty bierzesz tego strażnika dalej, ja wezmę tego bliższego.

– Powodzenia – wyszeptał Garcia i szybkim biegiem ruszył przez plac. Po tym wszystkim co przeszli, wyglądał cudownie schludnie. W ręku błyszczał mu mały paralizator.

Harlow ruszył tuż za nim, obierając nieco inny kierunek. Dwóch strażników na górze stało odwróconych do nich plecami, stojąc przodem w stronę wiązki i z napięciem patrząc w górę na kółka kręcone przez ognik Dundonalda.

Harlow dobiegł do podstawy schodów, po swojej stronie Konwertera. Stopnie były szerokie, beton z którego zostały odlane, w ciągu tysięcy lat został zniszczony przez wiatr i czynniki pogodowe.

Ruszył nimi po cichu do góry, trzymając w dłoni paralizator. Musiał podejść blisko, mała broń obezwładniająca, miała bardzo niewielki zasięg. Miał tylko nadzieję, że uda mu się podkraść dostatecznie blisko strażnika.

Ilu innych ludzi wędrowało tymi stopniami, zmierzając do wiązki Konwertera, by nigdy już stamtąd nie wrócić? Jak wielu mężczyzn i kobiet pozostawiło tutaj za sobą swoją ludzkość, po to aby wyrwać się w otwarty kosmos?

Doszedł do szczytu schodów i na moment przykucnął. Strażnik znajdujący się po jego stronie występu Konwertera, stał jakieś piętnaście stóp od Harlowa, odwrócony plecami.

Harlow czekał, a jego wzrok szukał na przeciwległej części otaczającego wiązkę balkonu, drugiego ze strażników. On i Garcia musieli wykonać swój ruch w tym samym czasie. Z powodu zalewającego plac blasku, nie był jednak w stanie wyraźnie dostrzec tego człowieka. Wiązka biła w górę z czegoś wyglądającego na przezroczystą płytę, o średnicy dwudziestu stóp, i z tej niewielkiej odległości była po prostu oślepiająco intensywna.

Przerażenie i wyczerpanie powodowało, że chciałby jak najszybciej rzucić się do przodu i zacząć działać, ale nie mógł narażać Garcii na poważne ryzyko, musiał więc poczekać…

Czekał za długo, i wszystko wydarzyło się w jednej chwili.

Drugi strażnik, obchodzący wiązkę po drugiej stronie, nagle padł jak długi na betonowy balkon. Garcia podszedł do niego blisko od tyłu i strzelił ze swojego paralizatora.

Natychmiast Harlow skoczył naprzód, w stronę swojego celu. Ten strażnik jednak zauważył jak jego kolega upada, i obrócił się do tyłu, otwierając usta do krzyku.

Zobaczył zbliżającego się Harlowa i podrzucił karabin do strzału. Harlow nacisnął spust paralizatora. Znajdował się jednak w pełnym biegu, a ponadto nie miał okazji zbyt często używać broni, i niewidoczne, stożkowe pole elektryczne paralizatora, jedynie omiotło ciało strażnika. Mężczyzna zatoczył się, ale nie upadł.

Harlow rozpaczliwie biegł już w jego stronę. Paralizator był bezużyteczny, dopóki nie zostanie ponownie naładowany i musiał przedostać się przez ten karabin. Uderzył strażnika w usta, kiedy ten zaczynał je już otwierać do ostrzegawczego krzyku, a potem złapał go w pół.

– Harlow! – zadźwięczała w jego umyśle szaleńcza myśl. – Nie ma już czasu, Frayne podchodzi do lądowania…

Harlow zachwiał się, niezdarnie walcząc ze strażnikiem na szerokim kamiennym balkonie, podczas gdy świecąca gwiazdka, która była Dundonaldem, tańczyła wokół niego w szaleńczy sposób. Krew ryczała mu w głośno uszach i…

Nie. Ryk dochodził z nieba, stawał się przy tym coraz głośniejszy. Jakaś olbrzymia ciemna rzecz spływała w stronę placu w strugach płomieni.

Garcia dobiegł do niego właśnie w chwili, kiedy Harlow wykręcił się i uderzył strażnika w podbródek. Nogi pod mężczyzną załamały się i upadł, a jego karabin zaszczękał na betonie.

– Harlow! Uciekaj!

Jasność, kryjąca Dundonalda, wirowała wokół niego z rozdygotanym pośpiechem, i Harlow słyszał ciągle jego rozszalałe myśli. Normalnego głosu nie mógłby usłyszeć, ponieważ ryk schodzącego do lądowania krążownika, zagłuszał wszystko.

Harlow zawołał:

– Przechodź przez niego, Dundonald… przechodź przez wiązkę!

– Za późno – dobiegła do niego w odpowiedzi udręczona myśl. – Patrz!

Krążownik międzygwiezdny wylądował już na placu, i natychmiast otworzył się jego właz. W tej samej chwili przed frontem pokrytego kopułą kwadratowego budynku rozległy

się strzały. To Kwolek i załoga *Thetis* zaatakowali, właśnie wychodzących z budynku, ludzi Taggarta.

Z krążownika, który wylądował przed chwilą, wybiegła gromada ludzi. Uzbrojeni byli również karabiny automatyczne, tak więc Kwolek oraz ludzie z Thetis zostali wzięci w krzyżowy ogień.

Harlow zaczynał właśnie zbiegać ze schodów, kiedy Garcia zatoczył się.

Złapał go. W eleganckiej tunice Meksykanina widniała dziura, dokładnie na wysokości serca, a jego twarz była nieobecna, zmieniając się w śmiertelną maskę.

Wokół Harlowa od betonu zaczęły z wizgiem odbijać się kule, odwrócił się i zobaczył jak dwóch ludzi z załogi krążownika… nie, teraz już trzech z nich, celuje i strzela do niego.

Dundonald, latająca wokół niego gwiazdka, krzyczał w jego umyśle.

– Teraz już nie uda ci się uciec! Wiązka, Harlow! Pozostało ci to, albo śmierć!

Krótka bitwa dobiegła już końca, i to oni ją przegrali. Kwolek i ocalali członkowie załogi z *Thetis*, stali się bezradnymi jeńcami, a ze wszystkich stron unosiły się karabiny, żeby przeszyć Harlowa, stojącego, na tle świecącej wiązki, jak na tarczy strzelniczej.

Miał wybór. Mógł umrzeć od razu tutaj, albo nie umierać.

Wybrał. Rzucił się we wiązkę.

Uderzenie było niewiarygodne. Było to jak narodziny, śmierć i zmartwychwstanie, i wszystko to jakby działo się natychmiastowo i jednocześnie, z gwałtownością huraganu. Harlow w mgnieniu oka zrozumiał co to strach, a potem poznał pojęcie strachu gruntownie, kiedy uświadomił sobie, że został zmiażdżony i zagubił się w tak nowych i potężnych emocjach, że nie znał nawet słów pozwalających je wyrazić.

Nigdy tak naprawdę się nie dowiedział, czy stracił wtedy świadomość, czy nie. Być może dlatego, że całe pojęcie „świadomości" również się zmieniło, poza możliwości jej rozpoznania. Kiedy zagłębiał się w jaśniejącą mgiełkę kolumny mocy, całe jego ciało przeszył jaskrawy rozbłysk światła. Światło to było zarówno wewnątrz niego, jak i na zewnątrz, eksplodując w każdej komórce jego ciała i kości, mózgu i wnętrzności. Czuł jakby w jednej chwili jego cała cielesność osiągnęła dziwny stan chwały. Ale kiedy chwila ta minęła, nie był pewien światła ani ciemności, czasu ani miejsca, bytu ani niebytu. Z jego ciałem stało się coś niewiarygodnie niesamowitego. Próbował zobaczyć na czym to polegało, ale wszystko co był w stanie osiągnąć, to widok mieszaniny kotłujących się kolorów, jak w szaleńczo potrząsanym kalejdoskopie. Mógł to jedynie czuć, ale to specjalnie wiele mu nie mówiło, ponieważ nigdy wcześnie nie czuł czegoś podobnego i nie miał w ogóle jakichkolwiek ram odniesienia.

Jedyne co wiedział, to że natychmiast i w pełni poczuł się wolny.

To było uczucie tak radosne, tak przejmujące, że niemal nie do zniesienia.

Wolny.

Wolny od własnego ciężaru i od zmęczenia, od krępujących ograniczeń ciała. Wolny od żądzy i od potrzeb, wolny od obowiązków, wolny od odpowiedzialności, na zawsze wolny od natrętnego strachu przed śmiercią. Nigdy przedtem, w całym swoim życiu, nawet w jego najwspanialszych chwilach, nie czuł się tak naprawdę wolny, jakby naprawdę stał przed nim cały wszechświat. To było odkrycie. To było nowe życie.

Skoczył naprzód, pobudzany przez radość, która go przepełniała i wtedy wyczuł, że czekał tam na niego Dundonald. Teraz już zupełnie nie wydawało mu się dziwne, że Dundonald mógł być unoszącą się w powietrzu chmurką iskierek, rozmytą plamą czystej energii. Wydawało mu się to naturalne i słuszne, że to jedyna forma jaką może przyjmować rozumna i czująca istota. Kontakt myślowy z nim był taki wyraźny i bezpośredni, nieskończenie lepszy niż mowa.

– *No cóż, teraz masz to już za sobą* – pomyślał Dundonald. – Jak się czujesz?

– *Wolny!* – zawołał Harlow. – *Wolny! Wolny!*

– *Tak* – powiedział Dundonald. – *Ale spójrz tam.*

Harlow spojrzał, ale już nie oczyma, tylko dużo bardziej wyrazistymi zmysłami, jakie je zastąpiły.

Ludzie z karabinami, ludzie Taggarta i Frayne'a, spoglądali zmieszani w kierunku Konwertera, bramy w którą zanurzył się Harlow. A więc zmiana musiała być bardzo szybka, niemal natychmiastowa. Kwolek i inni ocalali marynarze z *Thetis* zostali już rozbrojeni i byli otoczeni przez przeważającą liczbę ludzi Taggarta.

Jeden z nich trzymał Yrrę. Wpatrywała się udręczonym wzrokiem w pałającą rozmytą wiązkę Konwertera, wykrzykując przez cały czas jedno słowo. Słowo to brzmiało „Harlow". To było jego nazwisko. Umiał odczytać jej myśli, w bardzo przytłumiony sposób w porównaniu z Dundonaldem, ale dostatecznie wyraźnie. Był kompletnie zdumiony tym, co w nich znalazł.

– Mogłem ci już wcześniej powiedzieć, co ona o tobie myśli – pomyślał Dundonald. – Ale wydawało mi się, że nie powinienem.

Jakieś pozostałości poprzedniego człowieczeństwa Harlowa, ciągle w nim pozostawały. Opadł w dół, tuż obok Yrry, tak by mogła go zobaczyć. Na jej twarzy odbijał się ból i szok, ale nie było już strachu. Przepełniało ją jeszcze inne uczucie, dużo silniejsze niż strach. Człowiek, który ją trzymał, również zauważył Harlowa i odskoczył do tyłu, unosząc swoją broń.

Harlow zignorował go zupełnie. Przemówił do umysłu Yrry.

– *Jestem bezpieczny* – powiedział. – *Nie martw się o mnie, wrócę. Kocham cię.*

Głupie słowa. Ludzkie słowa. Wszystko się zawaliło, i nie mógł wrócić tak samo jak Dundonald.

Warty przy Konwerterze zostaną teraz podwojone, tak aby wyeliminować wszelkie możliwości powrotu jego, albo Dundonalda, w czasie którego technicy ze statków Kartelu będą potrzebować do znalezienia sposobu demontażu i zabrania stąd Konwertera. A kiedy to już uda im się zrobić, to droga powrotu zostanie dla nich zamknięta na zawsze.

Głos Yrry — albo może były to jej myśli? — zranił go przepełniającym go smutkiem i tęsknotą. Nie był jednak aż taki wolny, jak początkowo myślał. Wtedy dojrzał Taggarta, mówiącego coś do cudownie skutecznego, miło wyglądającego gościa, i zorientował się, że to musi być Frayne. Wyczuł jego myśli, chłodne, bystre, wyraźne i perfekcyjnie bezlitosne. Po raz pierwszy w życiu zrozumiał, co odróżnia ludzi jego pokroju od większości przedstawicieli rasy ludzkiej. Ich umysły były jak zimne studnie, w których nie było śladu światła, do których nigdy nie przedostała się odrobina ciepła. Mogli udawać przyjaźń, albo nawet miłość, ale tak naprawdę nie było tam miejsca dla tych uczuć. Wszystkie ich emocje kierowały się do wewnątrz, ściśle przywiązane do jądra własnego Ja.

I to byli ludzie, którzy go pokonali, ludzie którzy właśnie okradali galaktykę z jej najcenniejszej własności.

Harlow uświadomił sobie, że nadal jest w stanie czuć nienawiść. Skoczył na ludzi, wyciągnął się, by w nich uderzyć, i substancja jego jestestwa przeszła przez nich jak rzadki dym. Byli nieco zaskoczeni, ale to wszystko. A Taggart uśmiechnął się.

– Czy to ty, Harlow? Tak sobie myślałem. Z brakiem ciała wiążą się jednak pewne wady, co? – Wskazał gestem ręki na Konwerter. – Możesz je odzyskać z powrotem w każdej chwili. Po prostu przejdź przez wiązkę.

– *A potem cię zabijemy? Nie ma sensu kłamać, Taggart. Mogę czytać w twoich myślach.*

– No cóż, a więc musisz poczekać, i mieć nadzieję, że pewnego dnia stanę się na tyle ciekawy twojego sposobu życia, że przejdę przez wiązkę, i będziemy mogli spotkać się na

równych prawach. Chociaż tak się zastanawiam, czy nawet wtedy będziesz mógł mi coś zrobić.

Dundonald był już w pobliżu Harlowa.

– Chodźmy, tutaj nic nie uda ci się zrobić. Dokładnie tak jak ci powiedział, są pewne wady.

Harlowa nie swędziały już palce w poszukiwaniu broni.

– Przechodzę z powrotem przez wiązkę.

– Zabiją cię w tej samej chwili, kiedy się pokażesz. Wiesz przecież o tym.

– Ale gdybyśmy obaj przeszli razem… jeśli zrobimy to szybko i od razu jednocześnie ruszymy na obydwu strażników…

– Wtedy obaj będziemy martwi, zamiast jednego.

– Ale gdyby było nas więcej, Dundonald. Gdyby było nas dziesięciu, dwudziestu, stu, i wszyscy na raz przeszlibyśmy przez Konwerter… – W głowie Harlowa zaczął kiełkować pomysł. Chmura energii, przenosząca jego jaźń, pojaśniała i zaczęła pulsować, kurcząc się do kuli jasności. – Dundonald, Vornowie! Oto nasza odpowiedź. Vornowie. To jest tak samo ich walka, jak i nasza. To oni zbudowali Konwerter. On należy do nich, a jeżeli zabierze go Kartel, to oni również zostaną odcięci.

Wyczuł wątpliwości w umyśle Dundonalda.

– To prawda, co nie? – zawołał, oszalały z niecierpliwości. – Wiesz przecież, że to prawda. O co więc chodzi?

– Oni są tak daleko stąd – powiedział Dundonald. – Spotkałem zaledwie kilku z nich — a tak naprawdę, to tylko jednego, i był jeszcze jeden, jego jednak wyczułem z bardzo dużej odległości. Większość z nich, jak mi się wydaje, opuściła naszą galaktykę.

Pozostała część myśli Dundonalda, była łatwo dostępna w jego umyśle, tak że Harlow mógł ją bez trudu odczytać. Myśl brzmiała:

– Wątpię, naprawdę bardzo wątpię, czy Vornom jeszcze na tym zależy.

– A więc, musimy ich do tego nakłonić – odpowiedział Harlow. – Nie pozostało nam nic innego!

Dundonald westchnął w myślach.

– No cóż, wydaje mi się że równie dobrze możemy zająć się tym, zamiast wisieć tutaj, gapiąc się tylko, tacy bezradni jak dwa cienie. – Wystrzelił na pełnej szybkości. – Leć więc za mną. Pokażę ci miejsce, gdzie rozmawiałem z jednym z nich. Być może nadal będzie w tym sektorze — studiował gwiazdy zmienne, Cefeidy, a tam były dwie gromady, w których występowało ich nadzwyczajnie dużo.

Harlow zawołał:

– Poczekaj! W jaki sposób mam to zrobić, jak mogę się poruszać…?

– A jak poruszałeś się wcześniej, kiedy nie o tym myślałeś? – odparł Dundonald. – Użyj siły swojej woli. Dzięki temu zmieni się biegunowość twojego nowego elektronowego ciała, tak że będzie ono mogło pochwycić i sunąć na wielkich pływach magnetycznych. Chciej tego!

I Harlow zrobił dokładnie w ten sposób. Wydawało mu się, że natychmiast porwał go jakiś wielki wicher wiejący pomiędzy gwiazdami, i poniósł w dal, razem z Dundonaldem, coraz szybciej i szybciej.

Początkowo nieco go to wystraszyło, a potem rozbawiło. Utrzymywał się w niewielkiej odległości za Dundonaldem i planeta Vornów, zielona gwiazda i otoczona czarnymi ścianami zatoka, wszystko to po prostu znikło. Poczuł błysk ciemności, tak jak podczas mrugnięcia powieką, i już przelecieli przez Mgławicę Końskiego Łba, prześlizgując się przez nią jak

jaskółki, ze skrzydłami zrodzonymi z mocy tysięcy gwiazd, świecących dookoła krawędzi wielkiej ciemności.

To nie mogło dziać się naprawdę. Nazywał się Mark Harlow, i był człowiekiem z Ziemi, a nie wiązką elektronów, mknących szybciej niż myśl po magnetycznych prądach nieskończoności. A jednak to wszystko się działo, i leciał nieustannie coraz dalej i dalej.

Z szybkością, w porównaniu z którą, światło wręcz pełzło, śmigali we dwóch przez wielokolorowe iskierki, które jak wiedział, musiały być gwiazdami, a po pewnym czasie wyłoniła się przed nimi kulista gromada wyglądająca jak rozdrażniony rój pszczół, tylko że te wszystkie pszczoły były gwiazdami. Rój obracał się, skrząc się wspaniale w ciemności kosmosu, nieustannie poruszając się, w czymś w rodzaju wspaniałego i dostojnego tańca, a gwiazdy wchodzące w jego skład, wplatały swoje skomplikowane wzorce, w ten ogólny ruch całości. Cefeidy rozbłyskały i znikały, żyjąc własnym intensywnym życiem wewnętrznym, które było niemożliwe do pojęcia.

– Nie ma go tutaj – stwierdził Dundonald i popędził dalej.

– Skąd to wiesz?

– Otwórz swój umysł. Rozłóż go szeroko. Czuj przy jego pomocy.

Zanurzyli się w gromadzie. Pływy magneto-grawitacyjne musiały być tutaj tak potężne, że rozerwałyby statek na kawałki, Ale Harlow odczuwał je tylko jako lekkie bodźce. Światło roju gwiazd, było jak rozbłysk pioruna, potężne, paraliżujące, obezwładniające, wspaniałe. W jakiś dziwny sposób wyczuwał całą gamę kolorów, które przemieszczały się i zmieniały. Biały, złoty, niebieski, szkarłatny, błyski kosmicznego pryzmatu, którego każda ścianka, była gwiazdą. Pozostała za nimi i wkrótce ponownie znaleźli się w zewnętrznej ciemności, podczas gdy gromada kurczyła się za ich plecami jak lampa odpływająca w oddali.

Z przodu wkrótce znowu pojawiła się kurtyna złotego ognia, przewieszona przez połowę wszechświata.

– Kolejna gromada jest za mgławicą – pomyślał Dundonald. – Leć za mną…

Wejście w Mgławicę Końskiego Łba, przypominało zanurzenie się w twardą bazaltową ścianę. W tą zaś, było podobne do zagłębienia się w buchającym żywym ogniem piecu. W obydwu przypadkach, było to złudzenie. Ogień tej jasnej mgławicy był równie zimny, jak ciężka od pyłu czerń ciemnej. Ale była ona nieskończenie piękniejsza. Lepiej przepuszczające promieniowanie obłoki gazowe, płonęły światłem uwięzionych w ich wnętrzu gwiazd, zamiast tłamsić je i zasłaniać. Harlow pędził za Dundonaldem wzdłuż złotych rzek, prześlizgując się ponad wodospadami ognia, wysokimi na miliony mil, poprzez spirale, pióropusze i wielkie ciche jeziora światła, w których gwiazdy jaśniały jak fosforyzujące ryby.

Potem ponownie ogarnęła ich ciemność, i przed nimi zaczęła w niej rosnąć kolejna gromada, kolejny rój gwiazd poznaczony cętkami szaleńczego promieniowania Cefeid. Dundonald wysłał w jej kierunku milczące wołanie, i nagle pojawiła się myśl z odpowiedzią, trzeci umysł w tym ogromie kosmosu i gwiazd.

– Kto mnie woła?

Podążyli za tym głosem myśli, zmierzając w stronę bladej gwiazdy, pulsującej jak serce umierającego człowieka. A w ponurym blasku jego korony napotkali mały rozbłysk jasności, podobny do nich samych, malutką żyjącą gwiazdkę — jednego z dawnych Vornów.

– Kto to przyleciał? – powiedział do nich Vorn. – Kto przeszkadza mi w mojej pracy?

Harlow wyczuł w tym dziwnym umyśle silne rozdrażnienie, zbyt wyniosłe i zbyt pełne dystansu, by można nazwać je gniewem. On sam milczał, podczas gdy Dundonald wyjaśniał sytuację, a umysł Vorna przez cały czas utrzymywał ten dystans, tę wyniosłą obojętność, i Harlow zaczynał powoli rozumieć, że ludzkość i jej pełne mrówczej krzątaniny sprawy, pozostały za tą istotą zbyt daleko, aby była w stanie przejmować się teraz czymkolwiek co może się stać tym nietrwałym, uwiązanym do planet ciałom.

Nie był więc specjalnie zaskoczony, kiedy Vorn odpowiedział Dundonaldowi.

– To kompletnie nie jest moją sprawą.

W odpowiedzi buchnęła myśl Harlowa:

– Ale chodzi o Konwerter! Nigdy już nie będziecie mogli powrócić…

Vorn przez chwilę obdarzył go czymś w rodzaju ciekawości.

– Jesteś bardzo młody. Wy obaj. Wyruszcie na tysiąc lat, by przemierzać przestrzenie międzygwiezdne, a potem powiedzcie mi, że te sprawy mają jeszcze jakiekolwiek znaczenie. Teraz odejdźcie, zostawcie mnie, bym mógł oddać się moim badaniom.

Dundonald powiedział do Harlowa ze znużeniem:

– Mówiłem ci, że to ich nie będzie obchodzić.

– Ale przecież musi! – odparł Harlow. – Posłuchaj! – zawołał mentalnie do Vorna, który już oddryfował ponad mętne światło wysyłane przez rozżarzony piec Cefeidy. – Posłuchaj, myślisz sobie o tym całym, szerokim wszechświecie, jako o swojej krainie. No cóż, jeżeli ci ludzie zdobędą kontrolę nad Konwerterem, to już nie będzie twoja kraina. Wyrzucasz nam, że ci przeszkadzamy. Nas jest tylko dwóch. Z czasem przez Konwerter przyjdą miliony. Vornowie nie będą już jedyni, ani w żaden sposób wyjątkowi. Co się wtedy stanie z twoją samotnością i twoim spokojem?

Vorn zawahał się.

– Mówisz, miliony? – powtórzył.

– Sam powinieneś wiedzieć, nawet lepiej niż ja, jak wiele zamieszkałych planet można znaleźć w galaktyce. A do tego powinieneś jeszcze pamiętać, jak bardzo ludzie obawiają się śmierci, i próbują ją oszukać w każdy możliwy sposób. Obietnica fizycznej nieśmiertelności, przeciągnie przez Konwerter całe populacje. Wiesz przecież, że mam rację.

– Tak – odparł Vorn. – Pamiętam. Wiem.

– A więc, pomożesz nam? Zaprowadzisz nas do innych istot twojego gatunku?

Vorn unosił się w milczeniu przez, jak wydawało się Harlowowi, dręczącą wieczność. Blade ognie zataczały wokół niego spirale, a jego umysł zamknął się przed nimi tak mocno, że ani Harlow, ani Dundonald nie mogli nic z niego wyczytać.

W końcu Vorn powiedział:

– Chodźcie.

Wzniósł się i wystrzelił z gromady, a Harlow i Dundonald podążali za nim. Gwiezdna rzeka Drogi Mlecznej rozpłynęła się na wszystkie strony jak dym, i po chwili znikła, a wokół nich rozłożyła się czerń, taka jak podczas nocy przed stworzeniem, oraz pustka przekraczająca siłę poznawczą umysłu.

Stopniowo, w miarę jak przystosowywały się jego nowe i niewytrenowane zmysły, Harlow zaczął uświadamiać sobie obecność małych plamek jasności unoszących się w czarnej nicości, i zrozumiał, że to są galaktyki. Takie małe, pomyślał sobie, tak szalenie odległe od siebie. Te wędrujące grupki gwiazd, zebranych razem, jak pielgrzymi podczas długiej podróży. To tu, to tam, wydawało się, że po kilka galaktyk łączyło się razem w gromadę, wspólnie podróżując od nieznanego początku, do jeszcze bardziej tajemniczego końca. Ale nawet one zdawały się zagubione i samotne, a chmary ich jasnych gwiazd skurczyły się w tej niewyobrażalnej przestrzeni w pojedyncze iskierki, wyglądające jak cekiny, rzadko porozrzucane na czarnej szacie.

Dobiegł do nich głos umysłu Vorna, przesiąknięty żądzą i podnieceniem.

– Przez cały ten czas, nigdy jeszcze nie dotarłem bliżej końca…

Ręce małpy i oczy człowieka, pomyślał sobie Harlow, nigdy jeszcze się nie napełniły, i nigdy tak nie będzie. I bardzo dobrze. Spoglądał na te odległe galaktyki, z tą samą żądzą i podnieceniem, jakie wyczuwał w Vornie. Po cóż istniał człowiek, do czego miałaby służyć jego inteligencja, jeśli nie do tego by się uczyć. By rozmieć, by wiedzieć, by odkrywać, by sięgać ponad stworzeniem, do jego najbardziej odległych granic, zawsze ucząc się, dopóki

człowiek i wszechświat będą wspólnie istnieć. By znajdować ostateczne dopowiedzi, na tajemnice największe ze wszystkich.

Nic więc dziwnego, że Vornowie nie byli interesowani powrotem, Czując swego rodzaju szok, Harlow uświadomił sobie, że sam je szybko traci.

Dundonald roześmiał się, milczący śmiech w myślach, z lekkim odcieniem smutku.

– Trzymajmy się mocno naszego celu Harlow. Inaczej my również zostaniemy Vornami.

Tempo ich lotu rosło. Chyba że było to tylko złudzenie. Poruszali się z niewyobrażalną szybkością, przecinając czas na wylot, ich pozbawione ciała jestestwa, nie robiły sobie niczego z przestrzeni i nie podlegały ograniczeniom materii. Lecieli w kierunku plamy jasności, która rozrastała się stopniowo, szeroko rozciągając spiralne ramiona, a spowijające ja mgiełki rozdzielały się na gwiazdy. Wkrótce przed oczyma stanęła im jaśniejąca jaskrawym światłem galaktyka, obracająca się jak wielkie koło. Prześlizgnęli się pomiędzy miliardami płonących w niej gwiazd, jak wietrzyk pomiędzy ziarenkami piasku. Vorn wysłał swój zew, na który odpowiedzieli inni. Po krótkiej wymianie myśli w tą i z powrotem, Harlow zorientował się, że niektóre z umysłów zerwały kontakt, wycofując się z powrotem w swoją izolację, ale inne uczyniły inaczej, i ich mała grupa stała się większa.

Wyrwali się z objęć spiralnej mgławicy. Vornowie rozdzielili się i zniknęli śpiesząc aby znaleźć innych i rozesłać wśród nich wieści. Harlow, Dundonald i ich przewodnik ruszyli z pełną szybkością dalej.

Czas przestał istnieć. Podobnie odległość. Jak pijany anioł, Harlow nurkował w wyspy wszechświata i wynurzał się z nich, otępiały od wirujących gwiazd, których nie był w stanie policzyć, oszołomiony ogromem ciemnych przestrzeni pomiędzy nimi, pełen uniesienia, ale też upokorzony, przestraszony, a jednak bardzo namacalny sposób, po raz pierwszy w życiu, nie bojący się zupełnie niczego.

Kilka razy zbłądził z ich szlaku, zapominając o wszystkim, ale Dundonald zawołał go z powrotem. Aż w końcu po raz ostatni skoczyli nurkując w pustkę, i niebawem pojawiła się przed nimi galaktyka, błyszcząca jakoś znajomo w ciemności. Już po chwili Harlow znalazł się w zatoce, na obrzeżu wielkiej czarnej mgławicy, która rozświetlana była przez zieloną gwiazdę, płonącą jak złowroga lampa…

Ojczysta gwiazda Vornów. A wokół niej, gromadzili się Vornowie z całego wszechświata.

Tańczyli na tle czarnych ścian obłoków mgławicy, jak ogniki podczas letniej nocy, i było ich bardzo, bardzo wielu. Zebrali się w jasną chmurę, i ruszyli w dół ciągłym strumieniem, lecąc w stronę powierzchni krążącej wokół zielonej gwiazdy planety, jak strumień komet, unosząc ze sobą Harlowa, który w tej ostatniej chwili zdążył jedynie wykrzyknąć z nagłym strachem i żalem.

– Nie… nie…

Byli już jednak tuż koło kolumny ognia, jasno płonącej pośród nocy, płynąc w jej stronę ciągłym strumieniem wypełniając powietrze swoją niesamowitą jasnością. Kiedy mijali ludzi Taggarta, przemknęli tuż ponad ich skierowanymi w górę twarzami, i Harlow zauważył, jak twarze te bieleją i wpatrują się w nich z paniką.

Potem wszystkie twarze znikły, rozmywając się we mgle, kiedy Harlow zawirował wyskakując wysoko, wysoko w powietrze i zanurzył się w drgającej, wspaniałej kolumnie.

Poczuł się jak ćma w płomieniu. Kiedy w środku kolumny mocy, opadał ku jej podstawie, jego skrzydła zostały poszarpane i zgniecione, a uniesienie minęło, razem z lekkością i wolnością. W miarę jak spadał coraz niżej, delikatne wzorce mocy wiązki transformowały, przebudowywały elektrony i atomy jego ciała, przywracając je z powrotem

do stanu materialnego. Wytoczył się poza filar, i ponownie był człowiekiem, znowu był Markiem Harlowem, stapiając ciężko po betonie i zadając sobie pytanie, dlaczego.

Nie był jednak sam. Obok niego stał Dundonald – stary, dobry, materialny, cielesny, Dundonald, a wszędzie dookoła nich pełno było obcych. Wysocy ludzie, których szczupłe, skromne ciała nawet teraz wydawały się płonąć jakąś poświatą, sprawiając wrażenie niemal przejrzystości, jak gdyby kilka długich wieków w innej postaci, wycisnęło w nich na stałe jakąś subtelną zmianę. Również ich oczy były dziwne, tak odległe i jaśniejące jak gwiazdy, za którymi podążali przez niekończącą się pustkę. Jeden z nich był wyższy, wyglądał bardziej surowo, bardziej władczo niż pozostali, i wydawał się być ich przywódcą, którym być może właśnie był.

– Ciężki, powolny, śmiertelny – wymruczał stojący obok Dundonald. – Dlaczego musieliśmy wrócić?

Rozmyte wspomnienia walczące o powrót na swoje miejsce, ostrzegły Harlowa o niebezpieczeństwie. Skulił się w oczekiwaniu na pociski rozdzierające jego, obecnie tak wrażliwe, materialne ciało. Ale strzały nie padały, a cały plac wypełnił się zamieszaniem i okrzykami, które wyrażały jedynie strach.

Nagle uświadomił sobie, że w ogóle nie widzi placu. Rozmywał się całkowicie w jasnej mgiełce, szaleńczo wirującej poświacie, w której wysocy Vornowie poruszali się ze spokojną pewnością siebie. Harlow i Dundonald zawahali się, zmieszani, a potem zdali sobie sprawę, że nie wszyscy Vornowie przeszli przez Konwerter.

Setkami, tysiącami, spływali pokrywając cały plac jaskrawą chmurą, oślepiającą i przerażającą stojących na warcie ludzi, i innych, którzy przybiegli na pierwszy okrzyk alarmu. Mieli ze sobą broń, ale nic nie widzieli, i nie mogli z niej strzelać. Jasne mgły otulały ich całkowicie, a wysocy milczący ludzie podchodzili do nich szybko od strony Konwertera, z przerażającym wrażeniem skuteczności. Powrócili tu, pokonując długą drogę, po to aby załatwić określoną sprawę, i chcieli to zakończyć tak szybko, jak to było możliwe. Przerażeni Ziemianie zostali rozbrojeni, zagonieni razem i sterroryzowani swoją własną bronią, w ręku ludzkich Vornów.

Dundonald chwycił za ramię Harlowa i wskazał nagle ręką:

– Taggart!

Stał widoczny w przerzedzeniu jasnej mgły, trzymając w ręku ciężki karabin, przyglądając się wszystkiemu wzrokiem kobry, z wściekłością na twarzy. Uniósł karabin, celując w rozmyte cienie przemykających we mgle ludzkich Vornów, spędzających razem Ziemian. Gdyby strzelił, musiałby trafić również któregoś ze swoich ludzi, ale Harlow wyczuł, że go to zupełnie nie obchodzi. Harlow wykrzyczał ostrzeżenie i pobiegł w jego stronę.

Taggart usłyszał go i odwrócił się. Uśmiechnął się.

– To był twój pomysł, co nie, Harlow? No cóż… – Naprowadził karabin na cel.

Harlow rzucił się szczupakiem do kolan Taggarta.

Usłyszał wystrzał karabinu. Poczuł uderzenie, trafiając w Taggarta, a potem zgrzytliwy trzask, kiedy Taggart poleciał do tyłu, i obaj wylądowali na chodniku. Na tym walka się skończyła. Czyjeś ręce uniosły go w górę, podczas gdy inne ręce postawiły, dużo mniej delikatnie, na nogi Taggarta.

W jego umyśle przemówił głos Vorna.

– To było nieprzemyślane i niepotrzebne. Byliśmy przygotowani na jego działania.

Harlow odwrócił się, i zobaczył obok siebie wysokiego przywódcę. Zorientował się, że człowiek mówi do niego w taki sam sposób, w jaki rozmawiali przed powrotem przez Konwerter, i to uświadomiło mu, że odtworzeni Vornowie nie wypowiedzieli na głos ani słowa, co było jednym z powodów niesamowitej ciszy, w jakiej wszystko to się dokonywało.

Przywódca Vornów uśmiechnął się.

– Ale to było odważne, i bardzo ci za to dziękujemy. Cieszymy się, że udało nam się na czas odbić jego broń.

Harlow wyszeptał.

– Ja również się cieszę. – Otarł czoło z potu.

Wysocy ludzie odprowadzili Taggarta, i jasna mgła zaczęła się unosić, w miarę jak Vornowie z wolna zaczęli się wycofywać.

Dziwna bitwa w zupełnej ciszy, była skończona. Taggart, Frayne, oraz ich załogi, stali się jeńcami. Załogi Dundonalda i Harlowa zostały wypuszczone na wolność, i teraz wysocy Vornowie przekazywali zdobytą broń, oraz wziętych jeńców funkcjonariuszom Służby Międzygwiezdnej.

Przez plac, wykrzykując jego imię, biegła Yrra.

Harlow wybiegł jej na spotkanie, chwytając ją w ramiona. Pocałował ją, a nad ich głowami, w gęstniejącym zmroku swojej dawnej planety, zawisły tańczące jasne gwiazdki Vornów, tak jakby na coś czekając.

Powiedział do Dundonalda:

– Twój statek może zawieźć wiadomości do Służby. Będziemy potrzebowali tu większej liczby statków, więcej ludzi, którzy przez cały czas będą pilnować Konwertera…

Głos przywódcy Vornów ponownie przemówił w jego umyśle:

– Nie będzie takiej potrzeby. Zanim stąd odejdziemy, upewnimy się, że Konwerter nie będzie mógł być ponownie użyty.

Zapadła już noc, i Vornowie zaczęli odchodzić. Wysocy, dziwni ludzie niecierpliwie tłoczyli się na stopniach Konwertera. Z radością wkraczali w płonącą wiązkę, i lekko, pełni szczęścia, wolni wyskakiwali w górze kolumny jak promienne gwiazdki, by dołączyć do mrowia innych ogników, czekających już na nich.

Harlow z Dundonaldem i Yrrą stali i obserwowali ich. W oczach Dundonalda błysnęły łzy i zrobił mały kroczek w stronę schodów.

– Nie – powiedział Harlow. – Nie, nie możesz. Nie wolno ci.

Dundonald popatrzył na niego.

– Ty nie byłeś wolny przez tak długi czas jak ja, a więc nie wiesz jak to jest. A jednak masz rację. Nie mogę.

W betonowej ścianie podstawy Konwertera otworzyły się drzwi — ukryte drzwi, których istnienia wcześniej nikt nawet się nie domyślał — i wyszedł z nich ten wysoki Vorn, który był ich przewodnikiem. Dotarła do nich jego myśl:

– Mądrze byście zrobili, gdybyście odsunęli się od Konwertera, zanim ostatni z nas odlecą.

Harlow zrozumiał o czym mówi i ogarnął go głęboki smutek.

– Największy sekret galaktyki — i ma zostać tak po prostu zniszczony… Może to i lepiej.

– Powstanie ponownie – dobiegła do nich myśl Vorna.

Zaskoczony Harlow spojrzał na niego.

– Ponownie? W jaki…

– Wy, ludzie z Ziemi, także pewnego dnia zbudujecie Konwerter. Kiedy po raz pierwszy wyruszyliście poza swoją planetę, stanęliście na drodze, z której nie ma już odwrotu. Będziecie szli nią coraz dalej i dalej, podobnie jak my, napędzani przez głód dotarcia do najdalszych krańców wszechświata, które będziecie mogli osiągnąć jedynie w sposób w jaki my to zrobiliśmy.

Harlow zastanawiał się nad jego słowami. Czy rzeczywiście tak będzie? Czy też Ziemianie wybiorą zupełnie inną drogę?

Yrra bojaźliwie pociągnęła go za rękę, mówiąc coś do niego, i rozejrzał się wokoło, stwierdzając że zostali już niemal zupełnie sami. Ostatni z Vornów wchodził po schodach w stronę wiązki.

Uświadomił sobie niebezpieczeństwo, odwrócił się i złapał za ramię Dundonalda. Dundonald zdawał się być zagubiony we własnych myślach, twarz miał białą i ściągniętą straszliwym żalem, i Harlow musiał ciągnąć go za sobą przez całą szerokość placu.

Koło statków odwrócili się i spojrzeli do tyłu. Przy Konwerterze nie było widać już żadnej ludzkiej postaci. Ale z górnej części wiązki, wystrzelił ostatni promienny Vorn, dołączając się do mnóstwa innych, którzy wirowali w ciemności.

Na boku masywnego betonowego piedestału, podtrzymującego Konwerter, pojawiła się ciemna, czerwona iskra. To nie był ogień, ale energia uwolniona z jakiegoś urządzenia fuzyjnego, które pozostawili Vornowie. Rozprzestrzeniała się ona, pożerając wszystko i nieziemska wiązka, od tysięcy lat stanowiąca bramę do nieskończoności, zamigotała, przygasła i znikła. Głodna czerwień, pożarła cały Konwerter, a następnie sama również znikła, i zapadła kompletna ciemność. Poza…

– Spójrzcie – ze strachem zawołała Yrra.

W górze krążyli Vornowie, mrowie promiennych ogników woli, wir stworzony z mgiełki pędzących gwiazdek, które zdawały się przekazywać ostatnie pożegnanie planecie swoich narodzin.

A potem wystrzeliły w stronę nieba, radosny, olbrzymi pióropusz małych gwiazdek, pędzących w stronę granic najdalszych brzegów stworzenia, w poszukiwaniu wolności i cudów całego wszechświata, czasu bez końca.

To nie było dla Ziemian, pomyślał sobie Harlow. Vornowie mają swoją własną drogę, którą muszą podążać. Ale pomimo tego, kiedy tak spoglądał na nich w górę, czuł że również i jego oczy są pełne łez.

KONIEC